

Dr hab., prof. UW r Marian Bielecki
Instytut Filologii Polskiej
Uniwersytet Wrocławski

Wrocław, 07.08.2023

UNIwersytet warszawski
WYDZIAŁ POLONISTYKI
wpłynęło dnia 8.08.2023

Recenzja pracy doktorskiej Piotra Sadzika

Stany wyjątkowe literatury. Twórczość Witolda Gombrowicza wobec doświadczenia anomii

Moja lektura rozprawy doktorskiej Piotra Sadzika nie jest lekturą nieuprzedzoną. Właściwie żadna lektura nie jest pozbawiona stronniczych przesądów, ale w tym wypadku takich okoliczności jest więcej. Jestem fanem, prawdopodobnie fanatycznym, twórczości Witolda Gombrowicza i przy recenzji każdego doktoratu i każdej książki o tym pisarzu powtarzam (naprawdę jakiś topos recenzyjny mi się stworzył), że każda nowa rozprawa cieszy mnie bardzo (no prawie każda, ale też jakoś tak się składa, że nie zdarzyło mi się recenzować takiej, która mogłaby mnie zasmucić). Ostatnio tych powodów do radości mam sporo, w ciągu minionego roku były cztery doktoraty recenzowane naukowo bądź wydawniczo (dwie książki już się ukazały: Nadziei Bąkowskiej i Pau Freixy Terradasa, kolejna Aleksandry Naróg już w przygotowaniu), o czym wspominam nie żeby się przechwalać, ale żeby powiedzieć, że gombrowiczologii w ostatnich latach dzieje się sporo (bo trzeba pamiętać o niedawnych, świetnych książkach Tomasza Kaliściaka, Ewy Kobyłeckiej-Piwońskiej, Błażeja Warkockiego, orientujących myślenie o Gombrowiczu w nowe kierunki). Dodać muszę, że w kilku przypadkach wolno te rozprawy uznawać za ujęcia quasi-monograficzne. Wszystko to jest kontekstem, o którym należy pamiętać, jeśli chce się właściwie ocenić rangę przedsięwzięcia naukowego, jakim jest dysertacja Piotra Sadzika, która przewyższa swoim zakrojem wyżej wymienione prace i którą również traktuję jako próbę monograficzną w sensie prawie dosłownym (nie omawia całej twórczości, ale ujmuje ją na tyle konsekwentnie, że odczytanie nieuwzględnionych tekstów można sobie w ogólności wyobrazić). Ta zupełnie niezwykła podatność Gombrowiczowskiego idiomu pisarskiego na parafrazę w różnych językach teoretycznych niezmiernie mnie zachwyca, a jednak pozostaje dla mnie jasne, że powiedzieć tu coś nowego w skali większej niż przyczynek nie jest łatwo. Zresztą powiedzieć coś nowego w skali przyczynkowej to już niemożliwe, aczkolwiek kiedyś to się w gombrowiczologii kilka razy zdarzyło. Po drugie, znam, podziwiam, a nawet lubię Piotra Sadzika i nie widzę powodów, żeby to ukrywać – to problem metodologiczny, dość przypomnieć skrupuły Rolanda Barthes'a, piszącego o Phillipie Sollersie. Mam tylko nadzieję, że jakoś zniesie tych kilka moich merytorycznych i metodologicznych wątpliwości.

Jeśli wedle tradycyjnej procedury i takiegoż rozumienia nauki najlepsze co może spotkać doktoranta/doktorantkę, to przeczytać w recenzji dysertacji, że osiągnął poziom naukowej dojrzałości, to trudno nie poczuć pewnego zakłopotania przystępując do oceny pod tym względem rozprawy Piotra Sadzika. Dopiero co wydał świetną książkę *Regiony pojedynczych herezji* (właśnie nominowaną do prestiżowej Nagrody Literackiej Gdynia!), zredagował wartościowe tomy zbiorowe (*Widma Derridy i Imiona anomii*), tłumaczył Jacques'a Derridę (*Fichus. Wykład Frankfurcki* i *W końcu nauczyć się żyć*), Matthew Calarco, jest członkiem jury nagrody Miasta Warszawy, itd., itd., itd. Bóg czy bogowie tylko wie/dzą, co jeszcze robi Sadzik... Być może trzeba by powiedzieć, że jest zanadto dojrzały, jednakże w kontekście gombrowiczowskim takie określenie nie brzmiałoby najlepiej. Recenzencka wycena tej rozprawy była zatem przesądzona już przed lekturą nie tylko dlatego, że jej kilka fragmentów już znałem. Niech mi więc będzie wolno w drodze wyjątku – bo jest to praca wyjątkowa – odejść od procedury i powiedzieć już teraz: praca spełnia wymagania stawiane rozprawie doktorskiej, a że spełnia je w sposób nie tyle nawet oczywisty, co spektakularny, to – jeśli istnieje taka możliwość – zgłaszam wniosek o wyróżnienie doktoratu Piotra Sadzika. Nie wyobrażam sobie też sytuacji, w której recenzowana rozprawa nie staje się podstawą publikacji książkowej i tym samym – nie mam co do tego wątpliwości – jednej z najlepszych prac o Witoldzie Gombrowiczu. Nie wątpię w to mimo paru drobnych wątpliwości, które zgłaszam poniżej.

Muszę powiedzieć od razu jeszcze jedną rzecz. Euforii, z jaką czytałem tę rozprawę, towarzyszył jednocześnie jakiś rodzaj irytacji albo przynajmniej zniecierpliwienia. Z początku nie wiedziałem, co jest powodem, ani dlaczego to się w ogóle dzieje, zważywszy na moje uczucia do autora, do których już się przyznałem. Najpierw pomyślałem, że to moja alergia na poezję dyskursu Waltera Benjamina, potem, że to przez moją zupełną niewrażliwość na obietnice mesjańskie, jeszcze później, że to przez słowo „anomia” powtarzające się w bodaj co drugim czy co trzecim zdaniu, przynajmniej w pierwszej części rozprawy (aczkolwiek faktycznie pojawia się ono zbyt często, nawet jeśli jest pojęciem kluczowym). W końcu zorientowałem się, że chyba w grę wchodzi jakieś moje resentymenty związane z dość natrętnie manifestowanymi przez autora pretensjami pod adresem starej gombrowiczologii (s. 6, 7, 14, 15, 15, 38, 39, 40, 73, 74, 100, 101, 112, 127, 137, 153, 174, 175, 190, 195, 196, 197, 222, 223, 233, 236, 237, 253, 269, 280, 280, 324, 350, 358, 390). Ta predylekcja znajduje swój najbardziej kuriozalny wyraz w sygnalizowaniu przeoczeń nieprzeoczenia. Na przykład książki Jill Harnesberger o Witoldzie Gombrowiczu i Walterze Benjaminie (s. 153) – co akurat prawdą nie jest, bo znam przynajmniej dwie prace, w których się pojawia, w jednej z nich nawet zostają

zasugerowane pewne analogie dotyczące podobnie krytycznego stosunku obu autorów do scholastyczności (w związku z esejem *O gimnazjum humanistycznym* tego drugiego). Ponadto jeśli Sadzik odnotowuje z uznaniem nielicznych komentatorów pewnych aspektów dzieła Gombrowicza (s. 31, 38, 39, 100, 101, 126, 196, 197, 228, 233, 236, 237, 253, 269), to tak się składa, że są to wątki podejmowane przez niego. Na ogół jednak w tych licznych negatywnych – właściwie: nicościujących w Sartre’owskim sensie, bo tworzy się tu pewne wyobrazenie za cenę unicestwienia – uwagach Piotr Sadzik – poza interpretacją *Ślubu* – nie wskazuje, o jakie prace i o jakich autorów/ki chodzi. I żeby była jasność. Nie bronię klasyki gombrowiczologii. Ona jest, jaka jest, a jeszcze bardziej była, jaka była. Sadzik znęca się w sposób bezpośredni zwłaszcza nad starą gombrowiczologią, tzn. tą do końca lat 90. (plus Jarzębski, Markowski i Margański) i nawet ma rację, bo tam faktycznie dobre rzeczy można zliczyć na palcach jednej ręki. To zresztą osobny i ciekawy temat, dlaczego tak słaba była jej kondycja – ale na inną okazję. Natomiast od tego czasu się sporo zmieniło. Tak czy owak, te złośliwe wycieczki w stronę gombrowiczologii wydają mi się niepotrzebne nie tylko dlatego, że są często po prostu nietrafione, bo opierają się na przeoczeniach, niedoczytaniach, zapomnieniach bądź niedopowiedzeniach, ale dlatego, że te krytyczne uwagi są bardzo ogólne – i w tym sensie niewiele znaczą. Przedstawiona interpretacja jest na tyle silna, iż nie potrzebuje podobnych wzmocnień. Ponadto na wiele, może na większość z tych pretensji dałoby się odpowiedzieć wskazaniem na konkretne pozycje bibliograficzne. I nie trzeba by się w związku z tym upominać o jakieś nikomu nieznane artykuły z niszowych pism czy zbiorówek, zresztą i takie w przypadku próby monograficznego przedsięwzięcia należałoby znać, ale o książki i artykuły wydane przez ważne i wpływowe wydawnictwa i redakcje. Inaczej mówiąc, można by wskazać w dysertacji kilka miejsc, w których Piotr Sadzik wchodzi w całkiem głębokie koleiny znanych omówieni, ale nie jest tego świadomy.

Niemniej jednak tymi paroma zbędnymi gestami Piotr Sadzik rzuca wyzwanie gombrowiczologii. Przymus czytania tej rozprawy w taki sposób niedobrze robi lekturze, ale w trakcie swojego recenzenckiego sprawozdania zmuszony jestem powiedzieć: sprawdzam. W końcu chodzi o jedną z zasadniczych tez i ambicji dysertacji. Jak zatem wypada rozprawa w świetle tych buńczucznych deklaracji? Gdyby trzeba było bardziej dokładnie zakreślić pole Sadzikowych innowacji i nieinnowacji, to widziałbym to tak. Wstęp, bardzo bogaty, wielowątkowy i interesujący, zawiera przypomnienie reportażu przedwojennych, wybranych tekstów czy fragmentów tekstów przedwojennych i dokładne przeczytanie fragmentów *Wspomnień polskich*. To lektura historyczna i współczesna z szeregiem aluzji do PIS-owskiej władzy i jej bardziej brunatnych akolitów. Komentarz jest dobrze ukontekstwowiony, aczkolwiek

w niektórych miejscach ma umiarkowanie bliskie związki z przedmiotem badań. Niemniej jednak ten fragment trudno uznać za istotną nowość. Generalnie interpretacja sprowadza się do streszczenia, parafrazy i biograficznej rekonstrukcji. Przywołane fragmenty tekstów Jeleńskiego i Gombrowicza wykorzystywano wiele razy w historycznoliterackim kontekście modernizmu, co rodzi dodatkowe problemy o charakterze historycznoliterackim (do czego jeszcze wrócę). Partia wstępna przynosi również kilka deklaracji teoretycznych i jedną z najważniejszych pretensji wobec gombrowiczologii, mianowicie o „alergię na historyczność” (s. 7). Co do tych pierwszych założeń teoretycznych, to czytelnik/czytelniczka znajdą tam pożyteczną rekapitulację filozofii Giorgio Agambena, nie wszystkim znane kulisy relacji Carla Schmitta i Waltera Benjamina, wreszcie mniej przyjemne zwrócenie uwagi, że dzięki PIS-owskiej władzy żyjemy od paru lat w „stanie wyjątkowym” (zadekretowanym przywołanymi w rozprawie słowami starego Morawieckiego).

Jeśli chodzi o następujące dalej partie pracy poświęcone wybranym utworom Gombrowicza, to zaakcentowanie kontekstów prawa, biopolityki i wspólnoty w egzegezie *Trans-Atlantyku* należy uznać za bardzo pożyteczne, aczkolwiek aporię Człowiek/Obywatel istotną w projekcie etycznym Julii Kristevej już w kontekście tej powieści uruchamiano. Zastosowanie kategorii „pirata/korsarza” (s. 78) i „wyrzucenia” (s. 81) to również rozwiązania bardzo interesujące. Z tym pierwszym kontekstem są jednak trzy kłopoty. Pierwszy ociera się o interpretacyjne nadużycie. Gombrowicz faktycznie identyfikuje się z korsarzem, ale nie z piratem. Sadzik zaznacza, że „obydwa pojęcia zbyt często stosowano wymiennie, by przesądzać o ich istotowej rozdzielności” (s. 78). Niby tak, ale tutaj przychodzi mieć do czynienia z przeciwstawieniem kogoś, kto jest czystym naruszeniem prawa, i kogoś, kto może liczyć na legitymizację prawną, jest to więc raczej – by tak powiedzieć – rozdzielność więcej niż istotowa. Przedstawiona interpretacja jest możliwa do przyjęcia wyłącznie przy założeniu, że Gombrowicz pomylił korsarza z piratem. O ile Sadzik naciągając semantykę pojęć dopuszcza się niewielkiego nadużycia, o tyle przypominana w rozprawie podobna pomyłka Schmitta wypada bardziej ponuro, gdyż w tekście *Pojęcie piractwa* bronił on korsarskich w istocie działań U-Bootów. Nawiasem i półzartem mówiąc, zastanawiam się, czy to posunięcie Sadzika to nie przypadek anomii, osobliwego połączenia prawa i bezprawa (interpretacyjnego), wyjątku i reguły. Na ogół bowiem autor dysertacji upiera się przy ścisłości pojęć, lubi wspominać o „chirurgicznej precyzji” (s. 76), tym razem jednak wyjątek czyni elementem reguły, sankcjonując interpretacyjną przemoc (skądinąd mu właściwą, co później spróbuję dodatkowo uzasadnić). Drugi kłopot jest taki, że kategoria „korsarza” uznanego za pirata, jakkolwiek dodatkowo niuansująca ulubioną jeśli idzie o *Trans-Atlantyk*, marynistyczną

retorykę Gombrowicza i doskonale wpisująca się w kontekst anomicznych ambiwalencji, objaśnia jedynie kilka paratekstowych autokomentarzy i nie stanowi jakiegoś szczególnie heurystycznie wartościowego wytrycha do całej powieści. Poza tym – to kłopot trzeci – ta autoidentyfikacja Gombrowicza – przyjmijmy ją na chwilę – z piratem nie sięga nazbyt daleko, bo tak naprawdę mniej go z nim łączy, a więcej dzieli (jeśli „korsarska pozycja (...) pozwoliłaby mu przemycać do portów wszelkiej wspólnoty swoją wybuchową kontrabandę” [s. 80]), to wolno w tym widzieć praktykę piracką tylko przy bardzo dużej dozie dobrej woli, bo byłby raczej przemytnikiem. Objaśnienie przygodnie raczej przez Gombrowicza użytego pojęcia „wyrzucenia” przez uwzględnienie starogermańskiego kontekstu słowa „bando” jako wyłączenia ze wspólnoty na mocy decyzji suwerena zachowane w określeniach wyjętych spod prawa „banitów” czy bandytów” też brzmi nieźle, ale wpisuje się w ten poziom interpretacji, który rozgrywa się na płaszczyźnie językowej nieświadomości tekstu i autora. Ponadto w rozdziale tym inspirująco zostaje objaśniony istotny dla wymowy powieści motyw „pustki” w kontekście wykładni Giorgio Agambena. Ta interpretacja jest ciekawym uzupełnieniem dotychczasowych egzegez, ponieważ zdiagnozowany tą formułą kryzys ontologiczny już opisywano, mniejszą może uwagę zwracając na prawne i instytucjonalne jego implikacje, ale dokładniej opisując konteksty genderowe, queerowe, a nawet historyczno-kulturowe, nie mówiąc już o historycznoliterackich. Nie uwzględniając zwłaszcza tych ostatnich Piotr Sazdik nieco zubaża swoją wykładnię. Zamiast Rymkiewicza, a przynajmniej obok Rymkiewicza, a najlepiej obok Rymkiewicza w przypisie, charakteryzując poczynania Rachmistrza należałoby przywołać Mickiewicza i *Dziady* oraz *Pana Tadeusza*, Słowackiego i *Kordiana*, bo – jak to wskazywano wiele razy – do takich kontekstów nawiązuje Gombrowicz. Nie opisywał on tu „pre-Rymkiewiczowskiej logiki” (s. 103), to co najwyżej Rymkiewicz nie po raz pierwszy ani nie ostatni inspirował się Gombrowiczem (i wieszczami, rzecz jasna). Odświeżająco wypada natomiast analiza onomatopiecznych figur buch-bacha i znów wypada żałować, że autor nie uzupełnił swojej argumentacji o dotychczasowe analizy językoznawcze tego wymiaru powieści. Ciekawy też byłbym rozważania funkcji częstych w tej powieści cytatów, kryptocytatów i nawiasów, (mesjańskich) figur istotnych w analizach innych utworów.

Następująca dalej interpretacja *Ślubu* wychyla się w stronę autobiograficzną i m.in. zaczyna się od efektownego snu zrelacjonowanego w liście do rodziny, który – wedle autora dysertacji – mówi o niemożności komunikacji i wyrażenia doświadczenia (s. 117-118). Zauważyłbym więc, że podobnych scen zawieszanej komunikacji u Gombrowicza znajdziemy wiele (np. zebrania grupy Concreto-Invención [albo Madi] w kawiarniach z akustyką tak fatalną, że młodzi poeci nie byli w stanie porozumieć się w kwestii zmiany lokalu, wygłoszony

Lesung w Berlinie, albo snobistyczne konwersacje w Rouyamont) i najczęściej uczestniczą w nich postaci bez doświadczeń wojennych, co – powiem to już teraz, ale do tego jeszcze będę wracał – też podważa zasadniczą przesłankę Sadzika w kwestii kluczowej cezury wojennej. Co do interpretacyjnych odkryć, to świetne jest rozpoznanie we wspomnianym śnie nawiązania do Josepha Conrada, a także relacji *Ślubu* z dramatem Antoniego Cwojdziańskiego (s. 127). Złośliwie ktoś mógłby zapytać – a paroma niepotrzebnie aroganckimi uwagami Piotr Sadzik kąśliwości prowokuje – czy ta intertekstualna analiza nie podpada pod zarzut „jałowej poznawczo intertekstualnej deszyfracji” (s. 112; por. s. 151) sformułowany dwukrotnie w odniesieniu do zastanych interpretacji tego dramatu. Nie podzielam takiego mniemania i zarówno intertekstualne rozpoznania Sadzika, jak i krytykowane przez niego w sposób niebezpośredni odkrycia Janusza Margańskiego, wydają mi się ciekawe, interesujące i ostatecznie jakoś komplementarne, przy czym nawiązania do Kartezjusza i innych filozofów uznają za istotniejsze dla interpretacji niż inspiracje Cwojdziańskim. Zupełne pominięcie tych filozoficznych odniesień wydaje mi się nieuzasadnione i czyniące przedstawioną egzegezę uboższą. Wielką wartość mają inne jeszcze, bardziej szczegółowe ustalenia: zniuansowanie poetyki i pojęcia „snu” w kontekstach Freudowskich i Derridiańskich (s. 125), omówienie odniesień Kierkegaardowskich (s. 145-146), przywołanie Ernsta Kantorowicza koncepcji „dwóch ciał króla” (s. 162), kontekstu religii według Derridy (s. 165) i immunizacji (immunitetu) według Roberto Esposito (s. 171) – te konteksty bardzo tu pasują. Będąc rozwinięciem pomysłów Harnesberger paralela ze zinterpretowanym przez Benjamina niemieckim dramatem żałobnym również wypada interesująco, analogie faktycznie są w dalszym ciągu sugestywne, aczkolwiek zbliżone wnioski o ambiwalencjach władzy, dyktatorstwie i słabości suwerena, kryzysie języka, zdarzało się już gombrowiczologom i gombrowiczolożkom wynotowywać z tego dramatu (mam pewne teoretyczno- i historycznoliterackie wątpliwości co do tych paralel, więc do tematu wrócę dalej). Co jeszcze do kwestii ściśle interpretacyjnych, to zastosowanie pojęcia „performatywu” (s. 147) wychodzi dobrze, acz nie jest innowacją. Teza o tym, że Gombrowicz w *Ślubie* odkrył performatywność przed Johnem L. Austinem (s. 211) brzmi nieźle, ale trzeba by dodać, że już z *Iwony, księżniczki Burgunda* i *Ferdydurki* da się wyczytać – co czyniono wielokrotnie – performatywne pojmowanie języka i tożsamości. Wykorzystanie kategorii „niesamowitości” również trudno uznać za rewolucyjne, niełatwo zliczyć prace, które poszły tropami wyznaczonymi przez Michała P. Markowskiego. Mam natomiast bardziej szczegółowe wątpliwości co do „dziwności” (s. 123), wcześniej obecnej w *Trans-Atlantyku*, a rozumianej jako „symptom kryzysu przedstawiania, wskaźnik ograniczonej pojemności języka i miejsce jego nagle

odkrytego limitu”, kiedy protagonista „nie znajduje dla nich analogii w zasobie zgromadzonych dotąd doświadczeń, oswojonych kategorii i przyswojonych słów” (s. 123). Jeśli bowiem zajrzeć do *Ferdydurki*, to można by znaleźć sugestie, że można by myśleć inaczej, dokładnie na odwrót. Tam bohater patrzy na najzwyklejsze, najbardziej oswojone i najbardziej konwencjonalne, tzn. dające się ujmować w sposób najbardziej skonwencjonalizowany, składniki rzeczywistości i widzi ich dziwność – to jedna z parodystycznych strategii w antyrealistycznym przedsięwzięciu Gombrowicza. W kwestii podnoszonego zapoznania *Ślubu* i jego historycznego wymiaru (s. 136) dodałbym jeszcze może tylko, że nie przeoczyli tego na pewno artyści. Różewicz w *Kartotece* i *Kartotece rozrzuconej*, Mrozek w *Tangu* przepisali *Ślub* mocno go uhistoryczniając. Gombrowiczologom/żkom zdarzało się kreślić paralele między tymi utworami, tym samym historycznie kontekstualizując i *Ślub*.

W ogólności przedstawiona wykładnia *Ślubu*, oscylująca między porządkami alegorezy i historyczności (s. 130), wpisana w kontekst procesów podmiotowości w nowoczesności, uwikłanej w suwerenną władzę, ale i odczarowującej metafizyczne iluzje i przynoszącej doświadczenie niepokojącej przygodności, omawiająca historię przejścia od monarchii do dyktatury, a także jako historię opisaną przez Andrzeja Ledera „prześlionej rewolucji” (s. 131-132) – to faktyczne *novum* i stanowi po prostu wielkie osiągnięcie, aczkolwiek będę jeszcze sugerował konieczność pewnych redakcji tego rozdziału. W trakcie jego lektury faktycznie pomyślałem o tym utworze inaczej niż zwykle. Przyznam się nawet, że po raz pierwszy w tej mierze zachwyciłem się tym dramatem. Owszem, zawsze zadawałem sobie sprawę, że jest „wybitny”, „arcydzielny” itd., itd., ale nie wydawał mi się dotąd tak samo interesujący jak inne teksty Gombrowicza. Krótko mówiąc: Piotr Sadzik odkrył przede mną ten dramat. Mogłoby się wydawać, że ze względu na teoretyczną innowacyjność, interpretacyjną wnikliwość oraz monograficzną zamaszystość tej wykładni pisanie odtąd o *Ślubie* będzie trudne, o ile w ogóle możliwe. Tak, oczywiście, nie będzie, tyleż z uwagi na potencję tekstu Gombrowiczowskiego, co i z uwagi na ciśnienia potencjalnych interpretatorów i interpretatek. Oby tylko wszyscy oni mieli pod ręką interpretację Sadzika, czego jednak wcale nie jestem taki pewien, obserwując obyczaje w gombrowiczologii (wcale nie mam na myśli autora dysertacji).

Odczytanie *Pornografii* otwiera odniesienie do szeregu kontekstów (znanych): komentarzy na temat „nieprzeżycia wojny” w formie zarzutów kierowanych do Gombrowicza i jego odwrócenia w stronę polskich pisarzy, przywołania awantury wywołanej „wywiadem” Barbary Swinarskiej-Witek, (i mniej znanych) kuriozalnego wspomnienia Tadeusza Kwiatkowskiego. W konsekwencji utwór jest czytany jako propozycja innej, niemartyrologicznej narracji o wojnie, jako diagnoza „prześlionej rewolucji”, wreszcie jako

opowieści o kryzysie porządku Symbolicznego – języka, którego trybem będzie alegoryczność, obyczaju, który będzie pustą repetycją, ról społecznych zawieszonych w socjalnej próżni – zawodzącego w konfrontacji z Realnym anomicznego i anomizującego doświadczenia wojny, czego konsekwencją interpretacyjną jest analiza anomicznego wymiaru powieściowego dyskursu (wielokropków, cudzysłówów, nawiasów). Wartościowe jest rozpatrzenie historyczno-kulturowych kontekstów tytułu i w tej sprawie dodałbym tylko, że jego zmiana w niektórych obcojęzycznych wydaniach nie była powodowana – jak chce Sadzik (s. 230) – kwestiami cenzuralnymi i tym samym wywrotowością tytułu, ale, całkiem przeciwnie, zbanalizowaniem terminu pornografii, co Gombrowicz przyznaje w *Testamencie*. Co do niepodjęcia przez gombrowiczologię sugestii z tytułu *Akteon* (s. 153, przypis 429), to nie jest to prawda, przynajmniej dwóch autorów wątek podjęło. Uwzględnienie pierwotnych wersji powieści bezdyskusyjnie wzbogaca interpretację i tym samym naszą wiedzę o utworze. Koncept kampowo przegiętych partyzantów brzmi mało przekonująco w skądinąd ciekawie przeprowadzonej paraleli ze Schmittową „teorią partyzanta”. Prawdziwie genialnie wypada natomiast odczytanie przez pryzmat Benjaminowskich i Agambenowskich kategorii „taktu” i „gestu” (w sprawie tej drugiej kategorii pozwolę sobie jeszcze zgłosić pewne zastrzeżenia), a także rozróżnienia na „widmo” i „fantom” (Sadzik pisze: „Gombrowicz nie jest teoretykiem, który zobowiązywałby się do konsekwencji w posługiwaniu się terminologią, obydwo używa synonimicznie” [s. 260], więc poprosiłbym o dowody w tej sprawie, bo nie przypominam sobie, żeby się nimi w ogóle posługiwał). Tak czy owak, to jeden z najlepszych momentów w pracy.

Rozdział o *Operetce* jest symptomatyczny w tym sensie, iż rozpoczyna się od wymierzonych w próżnię pretensji wobec gombrowiczologii i dalej pojawiają się tylko dwa odwołania do dotychczasowych komentarzy. Jedno, alegatyczne, do Konstantego A. Jeleńskiego. Drugie, przypisowe, bardzo krytyczne do Jerzego Jarzębskiego. Tymczasem o tym dramacie trochę napisano, czytając go zarówno przez pryzmat metafory „stroju” czy „mody” (także *Systemu mody* Rolanda Barthes’a), etymologicznych konotacji Hufnagla, historii Hegla, kontekstów mesjańskich, a nawet Waltera Benjamin – w tym przez jego komentarze na temat gatunku operetki, mody, fetyszyzmu, pasaży, Anioła Historii. Trudno też zliczyć, ile razy komentowano antyparyskie filipiki z *Dziennika*, które stanowią tu istotny kontekst. Kilka razy omawiano też wzmiankowane odniesienia do Prousta, a przede wszystkim ewidentną inspirację proustowską w tym dramacie. W rozdziale tym interpretowana jest również, skądinąd ciekawie, *Historia* i tu już nie pojawia się odwołanie do żadnej z powstałych na temat tego brulionu prac (przez pryzmat niektórych z wykorzystanych przez Sadzika kontekstów czy kategorii – *ujarzmienie*, *cuda*, *queer* – już ten tekst omawiano; pojawiającego

się tam Louisa Althussera i jego pojęcie „interpelacji” również gombrowiczolodzy wykorzystywali). Z kolei interpretację kategorii „snu” (wedle derridiańskiej wykładni) i jej powiązań z operetkowością, omówienie genealogii historyczno-artystycznej utworu, rozpoznanie aluzji Hegłowskiej należy uznać za oryginalne i wartościowe wzbogacenie wiedzy o tym dramacie. Chyba z nazbyt wielkim impetem Piotr Sadzik forsuje natomiast tezę, że Gombrowicz był historykiem „do pewnego stopnia” (s. 361-363), tzn. takim, który uświadamiał sobie komplikacje historiograficzne rozpoznane przez „nowych historycystów” (nawiasem mówiąc, w recepcji *Kronosa* sytuowano ten tekst, a także diariuszowe komentarze w kontekście rzeczzonego paradygmatu metodologicznego). Zarzucano Gombrowiczowi różne rzeczy, ale wiary w historyczny obiektywizm raczej nigdy.

Podsumowując ten pobieżny przegląd rozdziałów pod kątem ich innowacyjności, powiedziałbym że – może poza odczytaniem *Ślubu* – nie przynoszą one jakiegось bardziej radykalnie nowego i wyczerpującego odczytania ani konkretnych utworów, ani którejs z fundamentalnych kategorii metaliterackiego słownika Gombrowicza. Powiedziałbym, że Sadzik mówi o wątkach i problematykach już opisywanych, i czyni to ciekawie je niuansując, wpisując w nowe, inspirujące konteksty. Niemniej jednak kilka razy w trakcie lektury pomyślałem, że Sadzik przynajmniej niektóre utwory, zwłaszcza dramaty przeczytał należycie dokładnie. Przez co chcę rozumieć nie tylko skrupulatność lektury, ale i kompetencję, głównie filozoficzną kompetencję, jakby wymaganą przez sam tekst (np. w postaci kontekstów omalże eksplicytnie w utworze przywołanych), a której po prostu brakowało dotychczasowym egzegetom i egzegetkom. Bardzo pomysłowe, odkrywcze i inspirujące jest zastosowanie jako interpretacyjnych wytrychów w kolejnych tekstach kategorii – korsarza, suwerena, partyzanta i historyka – oraz figur: onomatopei, performatywu, parentezy i pauzy. Mimo pewnych wątpliwości szczegółowych, które zgłoszę dalej, zastosowanie niektórych z tych pojęć pozwoliło Sadzikowi przygotować interpretacje, które – jestem tego pewien już teraz – są wzorcowymi i w przyszłości klasycznymi objaśnieniami wybranych fragmentów tekstów Gombrowicza. Jeśli nie wybrzmiewają dostatecznie mocno, to trochę z powodu zbyt dużej objętości rozdziałów. Gdyby je skrócić nawet o połowę, zredukować liczne dłużyzny, powtórzenia, kilkakrotne omawianie tych samych wątków czy tych samych scen w jednym rozdziale (scena mszy z rozdziału o *Pornografii* [s. 251, 300, 310] albo epizod obozowy brata Janusza uratowanego dzięki pomyleniu go z bratem pisarzem [s. 191, 222], ten sam cytat na dwóch sąsiednich stronach [s. 189, 190], czy wreszcie dwie kluczowe tezy pracy – o ambiwalencji czy napięciu między mitycznym zagrożeniem jednostkowości a szansami jej mesjańskiego uwolnienia oraz między emancypacyjnym potencjałem nowoczesności

i zagrożeniami nawrotu dyktatorskiej suwerenności – powtarzające się w różnych parafrazach na co drugiej stronie, a na niektórych kilkakrotnie [końcowe fragmenty rozdziału o *Ślubie!*] – mogą być przykładami), parafrazy samego siebie, nie mówiąc już o niepotrzebnych polemikach z nieistniejącymi często widmami gombrowiczologii i tym samym wydestylować esencjalną formę Sadzikowego dyskursu, który w wielu miejscach osiąga taką znakomitą postać (zastosowanie kategorii „gestu” to wzorcowy przykład Piotra Sadzika w najlepszej formie, w sensie dyskursywnego zdyscyplinowania, dopasowania tekstu i kontekstu), to na pewno przedstawione interpretacje mogłyby stanowić konkurencję dla istniejących omówień, jeśli już ulegać podobnie konfrontacyjnemu myśleniu. Po części uznaję to za efekt chyba nazbyt pośpiesznego przygotowywania pracy, niektóre miejsca ewidentnie świadczą o jej niedokończeniu (s. 219, 351, 352, 360, 375). Istnieje też pewne problematyczne dyskursywne napięcie, najbardziej widoczne chyba w rozdziale o *Ślubie*. Rozdział jest obszerny, zbyt obszerny i to wrażenie rozwlekłości potęguje naprzemienne występowanie dwóch dyskursów: interpretacyjno-filozoficznego i interpretacyjno-biograficznego(historycznego). Ten pierwszy jest nieporównanie ściślejszy, bardziej ekonomiczny w stosunku do historycznej i biograficznej opowieści o losach Gombrowicza, jego rodziny, Polski albo i całej Europy. To napięcie jest obecne w całej pracy. Nie wiem, jak je usunąć, bo ten drugi kontekst, który ja bym albo wyłączył poza obręb interpretacji filozoficznej albo sprowadził do przypisów, jest dla Piotra Sadzika istotny w próbie przemeblowania ahistorycznej rzekomo gombrowiczologii. Z kolei druga część rozdziału zawiera wiele powtórzeń, a główna teza interpretacji – o przejściu z jednej do drugiej formy suwerenności – parafrazowana jest z niewielkimi zmianami omalże w nieskończoność. Tak czy owak, tę sugestię zostawiam autorowi do ewentualnego rozważenia przy redakcji rozprawy jako podstawy przyszłej książki. Wiem, że jeśli Piotr Sadzik uwzględni tę sugestię, to operacja będzie bolesna. Wszyscy znamy to z doświadczenia, negocjacje z redaktorami/kami bywają trudne i przykre, na ogół jednak skróty w takich sytuacjach robią dobrze tekstowi. To sytuacja, w której proponujemy tekst na kilkadziesiąt tysięcy znaków, bo zdaje nam się, że mamy konszachty z Naczelnymi, a później na scenę wchodzi Redaktorzy i nakazują skrócić o połowę. Mnie się jednak wydaje, że proponując monograficzne czy minimonograficzne (jak to nazywa autor) wykładnie jakiegoś tekstu, najlepiej poświęcić mu albo książkę albo artykuł. Kilkudziesięciostronicowa interpretacja jednego utworu to przedsięwzięcie skazane na klęskę w perspektywie odbioru. Te okoliczności w pewnej mierze ułatwiają Sadzikowi krytykę wcześniejszych komentarzy, ponieważ prawie za każdym razem polemizuje z poświęconymi konkretnym utworom artykułami, których autorzy mieli do dyspozycji po prostu mniej miejsca na interpretację. Z tego wynika niewątpliwa siła, ale

i pewna słabość prezentowanej wykładni. Sytuacja, w której można sobie pozwolić na właściwie nieograniczoną objętość tekstu do interpretacji jednego tekstu to sytuacja raczej rzadka z powodów specyfiki reguł gry wydawniczych, akademickich itp. Byłoby cudownie, gdybyśmy zawsze mogli sobie pozwolić na pisanie książek poza tymi ograniczeniami, ale zwłaszcza literaturoznawcza młodzież podobnych możliwości jest dziś pozbawiona. Może wtedy nauczylibyśmy się też czytać tak obszerne interpretacje. Standard wyznacza objętość artykułu dwudziestostronicowego, w którym raczej trudno zmieścić aspirującą do wyczerpującego objaśnienia tekstu interpretację. Chciałbym być tylko dobrze zrozumiany. Moje krytyczne uwagi tylko w pewnej mierze odnoszą się w sposób bezpośredni do pracy doktorskiej Piotra Sadzika, bo takie prace po prostu tak się pisze, tzn. w doktoracie wolno sobie pozwolić na marzenie o wyczerpaniu tematu, które to marzenie znajduje swój wyraz w nieliczeniu się z objętością tekstu (aczkolwiek autor deklaruje, że i tak się ograniczał [„pamiętając o wymogach ekonomii wyводу stawianych niniejszej pracy” {s. 8}]). Przyznałbym nawet, że te moje obiekcje są w jakiejś mierze niesprawiedliwe z powodu przyjętej przeze mnie perspektywy lekturowej. Ja po prostu czytałem ten doktorat już jako książkę Piotra Sadzika o twórczości Witolda Gombrowicza. Powiem to jeszcze inaczej. Moim zdaniem jeśli te rozdziały nie zostaną przeredagowane i po prostu skrócone, to nie odegrają roli, jaką mogłyby odegrać, bo mają po temu wszelkie dane: roli jednych z najlepszych, a może i najlepszych interpretacji konkretnych utworów Witolda Gombrowicza.

Tyle w trybie pobieżnego, właściwie bezsensownego, ale wymuszonego sprawdzenia odkrywczosci/nieodkrywczosci wykładni Piotra Sadzika. Teraz chciałbym odnieść się na nieco bardziej ogólnej płaszczyźnie do kilku budzących moje wątpliwości propozycji przedstawionych w rozprawie, które określiłbym jako problemy z – kolejno – historycznością, cezurą wojenną, anomią, jednostkowością oraz metodą.

PROBLEMY Z HISTORYCZNOŚCIĄ

Z dobitnie i wielokrotnie postawionym zarzutem ahistoryczności gombrowiczologii, tzn. ignorowania kontekstu historycznego, jest parę kłopotów. Zasadniczo się z nim zgadzam, czemu nawet dawałem wyraz, ale też recenzując pewną książkę o jednej z powieści Gombrowicza żartowałem sobie z takiego oto jej fragmentu: „Pod koniec lat trzydziestych polski przemysł przeżywał duże ożywienie. Rosła produkcja węgla i stali, poprawiała się rentowność przedsiębiorstw. Nie miało to jednak przełożenia na wzrost stopy życiowej mieszkańców”. Kpiąco sugerowałem, że nie wiedząc o jaką książkę chodzi, trudno byłoby przypuścić, że napisał ją Gombrowicz. Z rozprawy Sadzika też byłbym w stanie wynotować coś podobnego, może nie tak głupiego, ale podobnie arbitralnego i redundantnego (np.

z przydługiej rekapitulacji Emile'a Durkheima albo Bernarda Stieglera, a najlepiej z akapitu o konsekwencjach cyfryzacji [s. 28]), przez co chcę powiedzieć, że z tą historycznością i historyzacją nie należy przesadzać. Ona jest istotna o tyle, o ile pozostajemy w miarę blisko omawianego tekstu, a Piotr Sadzik ponoszony przez pisarski temperament, olbrzymią erudycję, resentymenty wobec gombrowiczologii, a także atrakcyjnością tych historii, czasami od tekstu zanadto się oddala. Zarzut ahistoryczności bywa zresztą równoważony pretensją o przesadę w... historyczności interpretacji – choćby w przypadku recepcji *Trans-Atlantyku* będącej przykrawaniem do „ciasnych ram demaskatorskiej rozprawy z narodowo-patriotyczną mitologią i porachunkami ze środowiskiem polskiej emigracji” (s. 75). Niechęć do tych interpretacji musi się wydawać dziwaczna z uwagi na to, że radykalna krytyka nacjonalizmu pomieszczona w tej powieści wielokrotnie, czasem bardzo ciekawie omawiana przez komentatorów i komentatorki przesadza o niezwyklej aktualności utworu – co powinno być dla Sadzika istotne, zważywszy na parokrotnie deklarowaną niechęć do faszyzującej się właśnie Polski. Pretensje te są zresztą tu wyartykułowane w sposób szczególnie mętny. Sadzik pisze o „popularnej społecznie recepcji” (s. 73), „obiegowym szkolnym frazesie” (s. 74), wspomina jeszcze interpretacyjną pomyłkę Czesława Miłosza, a więc rozprawia się albo z czymś nieistniejącym (nie istnieje ani popularna recepcja *Trans-Atlantyku* ani szkolny frazes na temat tego utworu), albo z kontekstem będącym przeszłością (dyskurs Miłosza). Zresztą jak na mocny wyraz sprzeciwu względem przykrawania powieści do „polskich spraw” (s. 74), to przedstawiona interpretacja bardzo niewiele mówi o niepolskich, przede wszystkim argentyńskich sprawach w ten utwór wpisanych, o których w ostatnich latach sporo się dowiedzieliśmy od niepolskich i polskich badaczy i badaczek.

Zdaniem Piotra Sadzika gombrowiczologia „milcząco respektuje jałowy podział, który nigdy, a zwłaszcza w przypadku tego dzieła, nie daje się utrzymać – podział na warunki historyczne i przestrzeń estetyczną, ujmowaną jako sfera w stosunku do nich autonomiczna” (s. 15). Nie znam zbyt wielu prac, które nawet milcząco by taki podział stabilizowały, znam natomiast wiele takich, które mniej czy bardziej konsekwentnie go problematyzowały, co nie było nawet szczególnie trudne z uwagi na to, że dekonstrukcja opozycji „literatury zaangażowanej” i „literatury autonomicznej” (przez Gombrowicza najczęściej nazywanej „czystą poezją”) była bodaj zasadniczą jego przesłanką w pisanim już od *Ferdydurki*, poprzez opublikowane w Argentynie eseje, po *Dziennik*, projekcie przewartościowania literatury, którą dziś nazywamy nowoczesną albo modernistyczną.

Historyczność nabiera w tej pracy dodatkowego i niezbyt dobrego sensu. Otóż w wielu miejscach Sadzik anachronizuje teksty Gombrowicza przez objaśnianie ich kontekstami

dawniejszymi. Jeśli jeden z nielicznych uznawanych przez Sadzika gombrowiczologów, Kot Jeleński, stwierdził, to „Samo jego dzieło to rodzaj «Apolla» – rakieta międzyplanetarna wystrzelona na zaraniu wieku, wymierzona w wiek XXI”, to z recenzowana praca, mimo paru wycieczek w stronę aktualnej polityki tego nie potwierdza. Mam wrażenie, że przy omawianiu *Ślubu* Sadzik postępuje inaczej niż Benjamin interpretujący barokowe dramaty. Autor *Pasaży* projektował na te staroświeckie utwory wizję własnej współczesności. To samo zrobił z Benjaminem ważny dla Sadzika Adam Lipszyc, przypisując jego metodzie krytycznej rysy dekonstrukcji i zestawiając z de Manem, Derridą, Lacanem, Agambenem. Sadzik postępuje dokładnie odwrotnie, czyta współczesny dramat – *Ślub* – kategoriami i poetyką utworów dawniejszych. Prowadzi to do tego, że Gombrowicz – jak Szekspir – miałby w *Ślubie*, a więc w połowie wieku XX dekretować przejście od średniowiecznej, klasycznej teologii politycznej do nowożytnego absolutyzmu (s. 191, 202) albo od monarchii do dyktatury (s. 138), albo od feudalizmu do nowożytności (s. 150), ewentualnie od despotycznej monarchii z którym jako przedstawicielem Boga do nowoczesnych „rządów ludu” (s. 182), podobnie byłoby z *Operetką*, przedstawiającą przejście od feudalizmu do anomicznej nowoczesności (s. 359) – jeśli tak się rzeczy mają, to naprawdę dramaty nie zasługiwałyby na rangę, jaką się im przypisuje (Gombrowicz sięga po rekwizytornie monarchistyczną i teologiczną wyłącznie dla skonstruowania modelu władzy totalnej, raz krzepkiej i nieświadomej swojej słabości, a raz zrujnowanej, zawsze jednak opresywnej). Za każdym razem oznacza to pewien regres wobec bardzo wielu dotychczasowych egzegez, w których autorzy i autorki od ponad dwudziestu lat opisują dokonaną przez Gombrowicza krytykę nowoczesności z perspektywy ponowoczesności, usiłując lepiej bądź gorzej, w każdym razie ta robota trwa, zarysować pozytywne propozycje pisarza, wykraczające poza domenę krytycznej analizy. Nie twierdzę, że Sadzik nie mówi w ten sposób niczego interesującego czy nowego na temat władzy, która ma wiele rysów nowoczesnych. Mówi bardzo wiele świeżych i inspirujących rzeczy. Jednakże czytane przez niego teksty Gombrowicza sprawiają wrażenie niegdysiejszych, omalże dziewiętnastowiecznych, a w najlepszym razie domkniętych cezurą połowy wieku dwudziestego, i bez żadnych związków z naszą terażniejszością. Praktyki Sadzika czasem też prowadzą do pominięcia odniesień tekstów do ówczesnych realiów społeczno-kulturowych. Tak jest np. w rozdziale o *Operetce* (ale nie tylko tam), gdzie odczytaniu na tle kontekstów XIX-wiecznych towarzyszy niedostrzeżenie aluzji do czasów współczesnych autorowi (Dior i przed wszystkim Sartre, którego zaangażowanie w politykę i historię Gombrowicz wielokrotnie komentował krytycznie), a przecież to nie tylko ostatni tekst Gombrowicza, ale też taki, którego przesłanie mimo wszystkich jego nieoczywistości trzeba uznać za jakiś rodzaj

„pozytywności”, tak rzadkiej u późnego Gombrowicza. Znamienne, że jeśli w pracy pojawiają się już wspomniani Agamben i Derrida, to wyłącznie jako komentatorzy Benjamin (ten pierwszy), bądź jako użyteczni w sprawach szczegółowych (ten drugi). Pokusie zainsynuowania u Gombrowicza pozytywności w rodzaju mesjanizmu czy wspólnotowości wyczytanych u Derridy i Agambena Sadzik nie ulega.

PROBLEMY Z CEZURĄ

Przez problemy z cezurą mam na myśli nieoczywistość forsowanej przez Piotra Sadzika tezy o istnieniu w twórczości Gombrowicza wewnętrznego cięcia ideowego i literackiego. Nie wydaje mi się ona przekonująco postawiona, wątpię nawet w istnienie takowej cezury, nie mówiąc już o pożytkach heurystycznych podobnej hipotezy. Przede wszystkim nie jest jasne, w którym miejscu się sytuuje. Już na jednej z pierwszych stron rozprawy autor powiada, że to „w powojniu (...) wykształca się dojrzała myśl Gombrowicza o anomii” (s. 9), co by chyba miało znaczyć, że przynajmniej jeśli idzie o anomię, to np. *Ferdydurka* prezentuje myśl niedojrzałą. Tę cezurę Piotr Sadzik opisuje jako przejście od literatury rejestrującej „ledwie tłącą się, lecz jeszcze hamowaną anomiczność międzywojnia, z którą Gombrowicz niedwuznacznie sympatyzuje” a literaturą uprawianą „już w obliczu dokonanego wybuchu, rozsadzającego dotychczasowe formy życia, w wyniku którego też autorskie pojmowanie anomii ulega wysubtelnieniu” (s. 9). To wysubtelnienie ma znajdować swój wyraz nie tylko w literackich dygresjach na temat anomicznych stanów wyjątkowych, ale i w przygotowaniu „dekoracji dla sformułowania autorskiej koncepcji podmiotu, a także zakreszenia programu rewitalizacji pojedynczego życia” (s. 10). O „pojedynczym życiu” jeszcze wspomnę, ale zapowiedziana „autorska koncepcja podmiotu” mająca być – jak się należy domyślać – również nowością w literackim projekcie Gombrowicza nie zostaje dopowiedziana, aczkolwiek sama ta sugestia budzi moje wątpliwości. Stawką ma być to, „w jaki sposób wyłączać jednostkowe życia spod panowania śmierci, wyswobadzać je spod władzy pogrążonych w martwocie więzi, które stały się więzieniem, żelazną klatką, w której nie ma już miejsca na jakikolwiek gest tego, co jednostkowe” (s. 10). Wojna ma być doświadczeniem formacyjnym (s. 12) – to po niej ma się zaczynać kształtowanie Gombrowiczowskiej formuły witalizmu. Cezura II wojny światowej sugerowana jest w kilku jeszcze miejscach (s. 9, 66, 90, 92, 111). Jednakże w rozdziale o *Operetce* (s. 316-317) funkcję przejmuje I wojna światowa. Znamienne też, że w interpretacji *Ślubu* Sadzik przywołując Freuda teorię snów cofa się do I wojny światowej i snów straurowanych żołnierzy (s. 125), a i samemu Gombrowiczowi opisującemu w dramacie realia wojenne mieszają się obie wojny światowe (s. 126) – co też by problematyzowało rozstrzygające znaczenie tej drugiej.

W rozdziale o *Trans-Atlantyku* cezura wojenna wybrzmiewa mocno. Omawiając jedną z przedmów do powieści Sadzik pisze: „W roku 1939 Gombrowicz upatruje raczej chwili całkowitego krachu dotychczasowego modelu doświadczenia, gwałtownego kolapsu panującej dotąd wersji rzeczywistości, która jeszcze przed chwilą przecież gwarantowała podmiotowi stabilizujące poręki sensu, a która teraz ponosiła właśnie spektakularną klęskę. (...) Forma, złożona sieć relacji, dystynkcji i społecznych zależności, która była dotąd także skutecznym gwarantem poznawczego porządku, kapitułuje pod wpływem radykalnie niestabilnego, anarchicznego i dynamicznego «Stawania się»” (s. 66-67). Ten komentarz byłby prawdziwy w odniesieniu do omawianego fragmentu paratekstu, trudno go jednak za takowy uznać, jeśli uwzględnić *Ferdydurkę* i *Trans-Atlantyk*. Czy ta pierwsza powieść naprawdę żyruje jakieś „stabilizujące poręki sensu”? Czy przedstawiona tam Forma w istocie jest „skutecznym gwarantem poznawczego porządku”? Czytając fragment przedmowy dosłownie i w oderwaniu od samej powieści i pozostałych do niej paratekstów Sadzik wikła się w impas dość długo obecny w czytaniu *Trans-Atlantyku* – wróć do tej kwestii. Najwięcej argumentów przeciwko cezurze wojennej paradoksalnie dostarcza rozdział o *Pornografii*, a więc o utworze najbardziej bezpośrednio odnoszącym się do wojennej anomii. „Wielkie narracje” (vel „wzniosłe obiekty ideologii”) znaczone majuskułami – „Boga”, „Narodu”, „Sztuki”, „Proletariatu” – odsłaniające nagle swoją arbitralność i wydrążenie z substancji w sposób bardzo podobny zostały wydrwione w *Ferdydurce*. Argument psychoanalityczny – Freudowskiego „przymusu powtarzania” i Lacanowskiego *automatonu* – wzięty z kontekstu sarmackiego i książki Jana Sowy (s. 246, 249) – wskazywałby na pustkę sarmackiego czy szlacheckiego konserwatyzmu. Jeśli najbardziej emblematyczną tego figurą miałby być Hipolit, usiłujący reprodukcować habitus ziemiański, to trzeba powiedzieć, że identycznie albo i jeszcze radykalniej w sensie dalej idącej krytycznej analizy zostali w *Ferdydurce* przedstawieni Hurleccy.

W niektórych miejscach – np. tam, gdzie obszernie referuje się książkę Müllera (s. 41-42) – można odnieść wrażenie, że to jednak I wojna światowa jest cezurą anomiczną. Potwierdzeniem tego mogłoby być uznawanie *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego* za tekst założycielski „dla Gombrowiczowskiej diagnostyki anomii” (s. 110). Według Sadzika tekst to programowy i podaje szereg, głównie autobiograficznych przesłanek o tym przesądzających. Zasadniczo są one słuszne, jednakże z równą konsekwencją i tyloma samymi argumentami można by dowodzić, że w żadnym innym tekście Gombrowicz nie wykreował protagonisty równie odległego od swojego biograficzno-literackiego wizerunku.

PROBLEMY Z ANOMIĄ

Zastosowanie w rozprawie kategorii „anomalii” i „stanu wyjątkowego” jest z pewnością decyzją oryginalną i zasadną, podobnie myślę o tezie o witalizmie. Udało się Sadzikowi uchwycić istotny aspekt Gombrowiczowskiego dzieła, do którego wprowadzić w różny sposób się zbliżano, ale w przyjętym w tej pracy kontekście związanym z prawem nie ujmowano. Trzeba powiedzieć, że logika „stanu wyjątkowego” jest w gombrowicologii w miarę dobrze znana. Jeśli opiera się ona na zasadzie wyjątku potwierdzającego regułę, na wpisaniu zawieszenia prawa w porządek prawa, to coś bardzo podobnego diagnozowano u Gombrowicza, stosując pojęcie Lacanowskiego Realnego, które stanowi jednocześnie naruszenie Porządku Symbolicznego i osobliwy gwarant jego spójności. Podobnie trzeba by powiedzieć o spreparowanej przez Benjamina koncepcji impotentnego suwerena, ponieważ kilkakrotnie już stosowana w odniesieniu do Gombrowicza figura wybrakowanego Wielkiego Innego bardzo przypomina to ujęcie. Wydaje mi się, że na najbardziej ogólnym poziomie wykładnia Sadzika różni się – i tym samym stanowi nowość – od dotychczasowych ujęć „Formy”, że opisuje przejście od sytuacji jej kryzysowości (rozchwiania, relatywizacji, *etc.*) do konwulsyjnej przemocy zagrażającej jednostce, a wcześniejsze interpretacje wychodziły od konstatacji opresywności kulturowych form do ich subwersywnej rozbiórki. Powtarzam: mówię w trybie sporego uogólnienia, ponieważ z nagłą uruchamiająca się opresywność osłabionych form bywała opisywana, a i u Sadzika znaleźć łatwo dowody na pokusę interpretacji subwersywnej. Przy tym wszystkim – jak dla mnie – nie są to rozstrzygnięcia sprzeczne czy konkurencyjne, ale najdokładniej komplementarne. Ma Sadzik stuprocentową rację, kiedy powiada, że „to właśnie anomiczność stanowi zasadniczą i niezbywalną cechę świata Gombrowicza” (s. 38), i ma ją tylko po części, kiedy stwierdza, że sojuszników w tej sprawie jest zmuszony poszukiwać „na marginesach gombrowicologii” (s. 38). (W nawiasie dodałbym, że usytuowanie Marii Janion na tych marginesach to lekkie przegięcie, jej ustalenia uchodzą za klasyczne; inna rzecz, że tych klasycznych prac, zwłaszcza z lat 70., 80., i 90. jest nazbyt wiele, aby ta „klasyczność” zachowywała pozory sensu; funkcjonowanie większości z nich jest bezzasadne tak ze względu na niewielką ich wartość, jak i faktycznie nieistnienie w obiegu, choć akurat interpretacje Janion bywają przywoływane). To jest słuszne, o ile poszukujemy prac, w których słowa „anomia” czy „stan wyjątkowy” pojawiają się eksplicitnie, bo przecież jeśli „anomii” rozumieć jako – by nie mnożyć tych samych cytatów pozwolę sobie na parafrazę dominującego w rozprawie ujęcia – wyczerpanie żywotności form kulturowych, kryzys społeczny wywołany relatywizacją dotychczas obowiązujących reguł życia społecznego, to nie będzie przesadą powiedzieć, że większość prac na temat Witolda Gombrowicza to prace o anomii.

Mimo pewnych kłopotów z operowaniem pojęciem „anomalii”, o których za chwilę napiszę więcej, chcę powiedzieć jak najdobitniej, że największy walor pracy Sadzika polega właśnie na zwróceniu uwagi na wątki związane z prawem i rozmaitymi ambiwalencjami, w jakie wnikają się jego użycia. Najważniejsze z nich dotyczą ontologicznej pustki, na jakiej prawo jest ufundowane oraz nieoczywistości związków prawa z przemocą. Podjęcie tych kwestii to wielkie osiągnięcie Piotra Sadzika i zarazem uzupełnienie naszej wiedzy na temat Gombrowiczowskiej „Formy”, której arbitralność oraz przemocowy charakter od jakiegoś czasu coraz dokładniej opisywano. Prawo to oczywiście „Forma”, a diagnozowane i inscenizowane przez Gombrowicza jej kryzysy świetnie konwenują z opisami „anomalii” rozumianej jako kryzys legitymizacji prawa. Prawo w stanie wyjątkowym – tak jak je opisuje Agamben w *Czasie, który zostaje* („mamy do czynienia z całkowitą niemożnością odróżnienia wnętrza od zewnątrz”) – ma niektóre z fundamentalnych cech Gombrowiczowskiej „Formy”, przynajmniej tak jak ją interpretowano za pomocą pojęć Bourdieu („habitus”), Kristevej („abiekt”), i tak jak ją określał sam pisarz: „Forma nasza przenika nas, więzi od wewnątrz równie, jak od zewnątrz”. Jeśli paradygmatycznym przykładem stanu wyjątkowego – jak utrzymuje Agamben w *Homo sacer* – miałby być język, to do rozważenia jest również sformułowanie łacinnika z *Ferdydurki*: „Nie może być nic logiczniejszego niż język, w którym wszystko, co nielogiczne, jest wyjątkiem!”. Faktycznym zaniechaniem gombrowiczologii było zapoznanie kontekstu prawniczego (tu Sadzik miałby rację narzekając na gombrowiczologię, aczkolwiek paradoksalnie szczególnie dobitnie tego akurat tutaj nie czyni), mimo że wiedzą powszechną było prawnicze wykształcenie Gombrowicza. Sadzik tego kontekstu nie dyskontuje, a szkoda, bo znalazłby tam kilka pysznych anegdot potwierdzających anomiczne intuicje pisarza względem prawa. Oto przecież Gombrowicz – wedle opowieści ze *Wspomnień polskich* – jako aplikant był osobliwie wyczulony na arbitralność i właściwie absurdalność prawniczych hierarchii i edyktów prawnych, co przekładało się na jego dziwną przychyłność wobec obwinionych czy skazańców. A jako student prawa doprawdy nie zapowiadał się na jednego ze studentów studiujących prawa, których opisywał Benjamin u Kafki, a co miało być jedną z praktyk mesjańskich.

Co do kluczowego pojęcia „anomalii”, to pojawia się ono w wielu kontekstach przez co czytelnik/czka – przynajmniej taki jak ja – ma problemy z ustaleniem jego zawartości semantycznej, a tym samym ze zrozumieniem całej interpretacji. Przede wszystkim te użycia są problematyczne ze względu na trudności z rozstrzygnięciem, czy stan wyjątkowy jest historycznym procesem albo konkretnym zdarzeniem czy transhistoryczną strukturą. Pewną niejasność wprowadza również – premedytowane (s. 18) – zamienne, synonimiczne

traktowanie pojęć anomii i stanu wyjątkowego. Pojawiająca się w istotnej metakrytycznej deklaracji formuła „anomicznych stanów wyjątkowych” (s. 390) potwierdzałaby to. To chyba po części wina Benjamina, który zdaniem komentatorów je po prostu mylił. Podobnie według Schmitta nieporozumieniem była wizja słabego suwerena z pracy o barokowym teatrze. Warto też mieć na uwadze, że u Schmitta – wedle ustaleń z *Teologii politycznej* – stan wyjątkowy nie jest anarchią, ale też nie ma być formą sprawowania władzy. Co do samego stanu wyjątkowego, to w grę wchodzi jego rozumienie zgodne z ósmą tezą eseju *O pojęciu historii*: „Tradycja uciśnionych poucza nas, że «stan wyjątkowy», w którym żyjemy, jest regułą”. U Agambena – np. w *Stanie wyjątkowym* – znajdziemy sugestie, że stan wyjątkowy jest paradygmatem rządzenia w „tak zwanych państwach demokratycznych”. Innymi słowy, wcześniej stan wyjątkowy stanowił ukryty fundament systemu i okazjonalnie stosowaną praktykę, teraz określa istotę politycznej władzy. I w tym sensie jest stanem permanentnym. Wydaje mi się, że to poszerzenia semantyczne odpowiadają za niejasności wywodu Sądziaka. Czy z anomią miałoby być tak samo? Czy i ona jest stanem permanentnym? Na pozór tak, ale u Gombrowicza chyba tak nie jest, tzn. jest a przynajmniej się zdarza, ale istnieje jakby stan nieświadomości albo przecucia. Gombrowiczowscy protagoniści przeczuwają anomię, być może dlatego, że doświadczają opresji, której zawdzięczają pewien rodzaj uwrażliwienia i w konsekwencji subwersywnej przekory.

Jeśli stan wyjątkowy to sytuacja zawieszenia prawa przez suwerena politycznego, to możemy o niej mówić w sensie ścisłym chyba tylko w przypadku *Ślubu i Iwony, księżniczki Burgunda* (no, może jeszcze *Pamiętnika Stefana Czarnieckiego* ze względu na przywołane w pracy, literalne i sugestywne sformułowanie niezawieszzonego stanu wojennego [s. 47]). Do zweryfikowania byłaby kwestia stanu wyjątkowego w *Ferdydurce*, zaczynającej się w scenerii bardzo Kafkowskiej: Józio budzi się z poczuciem niezrozumiałej, niezawinionej winy (i wstydu) i nachodzi go profesor Pimko mający pewne rysy – jeśli połączyć idiomy Schmitta i Lacana – wybrakowanego suwerena (ale też ojca i matki). W pierwszej chwili Józio postrzega go jednak jako suwerena w sensie ścisłym, ale anomicznego poczucia arbitralności i absurdałności porządku społecznego nie ma chyba wcale, dopiero z czasem i przy pomocy sobowtórowego Miętusa zaczyna – jeśli można tak powiedzieć – inscenizować anomię. Nasuwa się zatem jeszcze inna możliwość. Można by rozszerzyć definicję stanu wyjątkowego o inne uwagi jego prawodawcy na temat suwerena, który okazuje się mieć jeszcze dodatkowe prerogatywy ponad możliwość decydowania o stanie wyjątkowym. Schmitt w *Teologii politycznej* mówi m.in. tak: „Władza suwerena to (...) władza decydowania o tym, czy panująca sytuacja jest rzeczywiście normalna”. Jeśli przyjąć takie założenie, to – prócz wspomnianego

Pimki – kilka postaci wykreowanych przez Gombrowicza mogłoby aspirować do rangi suwerena, przynajmniej w jakimś umownym albo ograniczonym zakresie. Jeśli jednak i tak nie jest, to znaczy, że wykluczamy możliwość takich koncesji, to upada w ogóle ewentualność czytania Gombrowicza w ten sposób, bo jak zastrzegaliśmy w *Homo sacer* Agamben narzędzia z klasycznych prac Foucault (*Historia szaleństwa w dobie klasycyzmu, Nadzorować i karać*) nie przydają się do analizy realiów lagrowych, co miałyby znaczyć, że analizy stanów wyjątkowych wymagają osobnych i specjalnych narzędzi. Dlatego uważam, że ta teza o obecności logiki stanu wyjątkowego u Gombrowicza musi być należycie, w sposób absolutnie bezdyskusyjny dowiedziona. Możemy oczywiście zastosować pokrewne, ale umowne rozumienie stanu wyjątkowego (*à la* Benjamin, jako stan powszechny) jako synonim anomii i wówczas zbliżałby się sensem między innymi do bezprawia. Takie sytuacje u Gombrowicza się pojawiają, Piotr Sadzik skrupulatnie je identyfikuje. Nie widzę jednak sensu, aby w ich opis wkleić Schmitta i spółkę. Wszystko, o czym tu piszę, jest pytaniem o to, jak wielką rolę odgrywa w twórczości Gombrowicza problematyka prawno-konstytucyjna. Nie przesądzam sprawy. W tej chwili nie jestem w stanie tego orzec z absolutną pewnością, przekonany jestem jedynie o tym, że wyłącznie lektura *Ślubu* w tej perspektywie jest w pełni uzasadniona. Do tego potrzebowałbym być po świeżej lekturze tekstów Gombrowicza, Benjamina, Schmitta i całej reszty. Osobiście uważam, że warto obecność stanu wyjątkowego w literackich światach Gombrowicza insynuować i mam nadzieję, że Piotr Sadzik to zrobi.

Chciałbym być dobrze zrozumiany. Nie jestem zwolennikiem metodologicznej pruderii i ortodoksji, jakich wymagają scholastyczne reguły Akademii. Nie znoszę definicji, klasyfikacji, ścisłości w pisaniu naukowym. Na ogół zestawiam teksty Gombrowicza z różnymi kontekstami z być może jeszcze większą niż Piotr Sadzik teoretyczną dezynwolturą. Mimo tego naprawdę odczuwam pewien niedosyt w braku konsekwencji w definiowaniu kluczowych pojęć w przedstawionej w recenzowanej pracy wykładni. Koniec końców myślę, że stanowi to niewielki problem, który łatwo rozwiązać kilkoma bardziej stanowczymi, wstępnymi deklaracjami teoretycznymi czy uściśleniami. A w niektórych sytuacjach warto po prostu odpuścić i nie doszukiwać się wszędzie stanów wyjątkowych.

Co do samej „anomii”, to pojawia się tu kilka ujęć, zarówno synchronicznych, jak i diachronicznych, tzn. albo określających specyfikę zjawiska albo utożsamiających z konkretnymi zjawiskami historycznymi. Te drugie wydają się być bardziej jednoznaczne, ponieważ dotyczą konkretnych wydarzeń czy okresów: począwszy od dwunastu lat III Rzeszy jako czasu najdosłowniejszego stanu wyjątkowego, zawieszenia prawa pozwalającego na prowadzenie legalnej wojny domowej (s. 27), poprzez wojnę z terroryzmem po ataku na WTC

(s. 27), wspomniany performatyw starego Morawieckiego, aż po anomiczne konsekwencje dominacji Internetu w naszym już życiu (s. 28). Jeśli anomia to stan zapaści porządku społeczno-politycznego, to najpierw „zmuśniętymi dekoracjami” (s. 28) były anachronizmy polskiego nacjonalizmu, teraz bezradne zasady demokracji liberalnej.

Ujęciem o charakterze synchronicznym jest np., potraktowanie anomii jako „czasu permanentnej deregulacji” (s. 5), czego efektem stała się „powszechna anomia rozumiana jako moment kryzysu społecznego, w którym doszło do rozchwiania obowiązujących dotąd reguł organizujących życie wspólnotowe” (s. 5) w okresie zarysowanym przez Jeleńskiego – od epoki feudalnej czasu narodzin pisarza do epoki planetarnej momentu jego śmierci. To rozpoznanie zostaje od razu uzupełnione komentarzem z *Testamentu*, zawierającym kilka toposów modernistycznych i egzystencjalistycznych („najciemniejsza noc”, „śmierć Boga”, załamanie kanonów, praw, obyczajów, autorytetów, próżnia) – czemu towarzyszy uwaga o „powszechnym ignorowaniu przez komentatorów takich uwag jak powyższa” (s. 6). Otóż w momencie historycznoliterackich remanentów, jakie miały miejsca mniej więcej dwadzieścia lat temu, ten i podobne komentarze cytowano często, trudno byłoby mi bez sprawdzania stwierdzić, ile razy ja sam to zrobiłem.

Omawiając anomie Piotr Sadzik upiera się przy cezurze wojennej, czego konsekwencją jest także usunięcie z pola widzenia napisanych przed wojną przez Gombrowicza esejów i felietonów, w których mógłby znaleźć m.in. takie oto uwagi, które ongiś potraktowałem jako kryzys modernistyczny (przywołuję je bez dodatkowej selekcji, tak jak je cytowałem w porządku swojego wywodu): „Czyż (...) formy dzisiejszego świata nie są tymczasowe i przejściowe (...) ? Czyż cały układ społeczny naszych form i norm kulturalnych nie jest przemijającym jeno momentem w rozwoju, czymś jak najbardziej niestałym i płynnym, w wiecznym duchu?”; „dziś, w dobie powszechnego nadwątlenia formy”; „Żyjemy w epoce gwałtownych przemian, przyśpieszonego rozwoju, w której dotychczas ustalone formy pękają pod naporem życia”; „żyjemy w dobie ogólnego fermentu i powszechnego nadwątlenia starych a powstawania nowych form”; „(...) nieco trudniej jest zorganizować się człowiekowi dzisiaj, w dobie pomieszania sfer, poziomów i środowisk, niż dawniej bywało, kiedy każdy od urodzenia tkwił w swoim ustalonym światku”; „Oto w pochodzie dziejowym wszystkie warstwy w Polsce ruszyły ze swoich miejsc, wszystkie porzucają odwieczne swoje siedziby, zmieniają charakter. (...) Czy można obstawać przy dawnej c z y s t o ś c i typu, rasy, charakteru, formy, czyż raczej nie należy radować się twórczym fermentem, który wiedzie ku nowym formom?”; „Czyż cały układ społeczny naszych form i norm kulturalnych nie jest przemijającym jeno momentem w rozwoju, czymś jak najbardziej niestałym i płynnym,

w wiecznym duchu? I czyż nie wygląda to tak, jakby jedna i ta sama treść wciąż przybierała nową formę, jakby żywioł objawiał się w coraz nowych i przypadkowych postaciach (...). A mistyfikacja której padamy ofiarą polega na tym, iż w życiu praktycznym musimy przyjmować owe przypadkowe formy, jako coś ustalonego raz na zawsze”. Wydaje mi się, że te diagnozy są przynajmniej tak samo anomiczne jak te przywołane przez Sadzika, choćby w uznaniu jako anomii „każdej formy kryzysu społecznego” (s. 18-19) albo takie oto ujęcie nowoczesności – tak nazwanej i przez Sadzika, i przez Gombrowicza w *Ślubie* (à propos Pijaka) – jako epoki „odkrycia płynnego żywiołu immanencji, wraz z którą odchodzimy od jednowymiarowości danych raz na zawsze form życia, stabilizowanych przez sztywny gorset reguł ustanawianych przez Bożego suwerena ku całkowitej nieobliczalności ciągle dynamicznego stawania się nieskończenie plastycznych podmiotów” (s. 175).

Rodzi to wątpliwość, jak się ma pojęcie „anomii” do pojęcia „modernizmu” (i „nowoczesności”, bo czasem warto je od siebie oddzielać), na ogół traktowanego jako moment kryzysu. Że można by utożsamić anomię z modernizmem potwierdza pojawiający się cytat z Jeleńskiego, który ongiś z racji sugestywnych analogii zestawiano z popularną u nas wtedy syntezą modernizmu Richarda Shepparda (*Problematyka modernizmu europejskiego*). Zamiast tego kontekstu Sadzik wybiera prace Emile’a Durkheima i jest to kolejny z przykładów objaśniania Gombrowicza przez diagnozy wcześniejsze od jego tekstów. Pewnym wytłumaczeniem jest uwaga o tym, że „anomiczny rozwój staje się w jego pismach wręcz cechą konstytutywną nowoczesności, być może dopiero dzisiaj – można by dodać – osiągnąca swoje ekstremum” (s. 19). Zrekonstruowana na tych stronach charakterystyka tych kryzysów pióra Durkheima, bo o jego pisma chodzi w cytacie, wygląda na jedną z wielu – wcale nie najlepszą – diagnoz modernistycznych. Sadzik z uznaniem przywołuje Durkheima i sugeruje, że te diagnozy wyglądają jakby odnosiły się do tekstów Gombrowicza (być może to jakaś stała figura myśli autora dysertacji, bo za chwilę okazuje się, że diagnozy Bernarda Stieglera też wyglądają jak Durkheimowskie).

Pojęcie „nowoczesności” pojawia się w kontekście problematyki „nieprzeżycia wojny” czy – słowami przywoływanego Ledera – „prześnionej rewolucji”. Takie jednak rozumienie terminu mocno komplikuje sprawę, odrywa to pojęcie od dyskusji na temat nowoczesności (modernizmu) i ponowoczesności (postmodernizmu) – co jest o tyle problematyczne, że to pierwsze pojęcie istnieje wyłącznie z perspektywy drugiego, partykularyzuje temat odnosząc go do polskich realiów, a tym samym – już w kontekście całej pracy – mimowolnie raz jeszcze redukuje problematykę interpretowanych utworów do tematu wojennego. Jeśli powojenne utwory miałyby stanowić w wykładni Sadzika – ale chyba nie tylko – „rozłożoną na głosy

odpowiedź na wojenny kryzys” (s. 9), to w moim odczuciu jest to myślenie nie tylko redukcyjne, ale i oparte na nieporozumieniu i przeszacowaniu – jakkolwiek to brzmi – znaczenia konsekwencji „wojennego kryzysu” (jakkolwiek zresztą nie rozumieć tego sformułowania).

Rozpoznaną przez Gombrowicza konsekwencją tych anomicznych przemian miałyby być „denaturalizacja” (s. 7) stosunków społecznych, co opisywano wiele już razy przy użyciu kontekstów o większej mocy heurystycznej niż prace Durkheima, mianowicie teorii Ervinga Goffmanna, Anthony’ego Giddensa, Pierre’a Bourdieu, Michela Foucault, Judith Butler itd. Jak już wspominałem, faktyczną nowością jest zastosowanie dyskursu prawa, bowiem – jak pisze Sadzik – anomia „przeistacza się w standardową i globalną kondycję, gdzie zanik dotychczasowych procedur legalizmu, który scalałby dotychczasowy ład, wytwarza przestrzeń nierozróżnialności między prawem i bezprawiem” (s. 7). Następnie pojawia się inne rozumienie „anomii”. Obok anomii, „której subsumpcja pod logikę suwerenności rozciąga nieregulowaną kontrolę nad życiem, pozwalając arbitralnie nim rozporządzać”, istnieje anomia mesjańska sprzyjająca „emancypacji pojedynczego życia” (s. 14). W tym ujęciu dzieło Gombrowicza miałyby być „bezustannie ponawianą próbą wynajdywania innej jej postaci, takiej, która, zamiast zawieszać prawo w celu wzmocnienia władzy nad życiem, szukałaby szans na zawieszenie samego tego zawieszenia, a w konsekwencji pozwoliłaby wyobrazić sobie pojedyncze istnienie poza logiką suwerenności” (s. 8). To prowadzi do głównej tezy rozprawy, wyłuszczonej pogrubioną czcionką: „wspólny mianownik całej tej twórczości należałoby lokalizować w anomicznych warunkach towarzyszących zjawisku «stanu wyjątkowego»” (s. 8). Wszystkie zatem teksty pisarza miałyby obrazować anomie, Sadzik wybiera tylko kilka, ale sugeruje, że to właśnie w nich zachodzi kondensacja tej problematyki. *Kosmos* zostaje pominięty, bo ma przedstawiać inny (ontologiczny) wymiar zjawiska, a „większość tekstów przedwojennych (nie wiadomo jednak których – dop. M.B.) – anomia jest tu raczej tu raczej żywiołem, który zwykle (z drobnymi wyjątkami) jedynie jeszcze tylko podmywa formy życia społecznego, które zachowują swoją względną stabilność” (s. 9). Nawet mimo zastrzeżenia o „drobnych wyjątkach” trudno przyjąć taką tezę, bo przecież ilość, skala i konsekwencje katastrof w *Ferdydurce* chyba nie pozwalają uznać, że formy zachowują tam „względną stabilność”.

W tej perspektywie dzieło Gombrowicza miałyby okazać się wyjątkowo czułym sejsmografem symptomów anomii. Okazuje się jednak, że nie całkiem tak. Piotr Sadzik w jednym ze słabszych fragmentów rozprawy tłumacząc się ze zwłoki w pisaniu pracy, sugeruje, że tym sejsmografem ma być dopiero jego wykładnia. Otóż praca „zamiast

zapowiadać przeczuwany przez siebie kryzys, może wydać się spóźnioną i wtórnie opisującą zjawiska poprzedzające jej ukończenie” (s. 15-16). Zatem anomia ma być sprawą teraźniejszości albo zupełnie niedawnej przeszłości – do czego należy odnosić tych kilka aluzji do aktualnego kontekstu politycznego. Chodzi o „powszechny kryzys demokracji liberalnej” (s. 17).

W tym momencie pojawiają się pierwsze, większe kłopoty związane z mesjanizmem. Jeśli więc zestawić kilka już przynajmniej cezur anomicznej zapaści i zaistnienia stanu wyjątkowego: ferment roku 1905, instaurujący modernizm rok 1910, czas I wojny światowej, rok 1920 wojny polsko-bolszewickiej, czas II wojny światowej, wojnę z terroryzmem, współczesny kryzys demokracji liberalnej, wreszcie cyfrową rewolucję technologiczną, to zważywszy, że wedle mesjańskiej obietnicy nie wszystko stracone – „nabierające obecnie czytelności znamiona anomii nie tylko komunikują o jej historycznych postaciach, katastrofach, którym nie zdołali zapobiec nasi przodkowie (tacy jak Benjamin i Gombrowicz, przynajmniej ten czytany Benjaminem – dop. M.B), ale pozwalają także wyrazić się katastrofalnej konfiguracji zdarzeń wytworzonej naszym «teraz». Tym samym dają też cię szansy, by w porę zapobiec jej skutkom” (s. 18) – to w moim odczuciu ta mesjańska narracja może się wydawać piękna zawartą w niej obietnicą, ale całkowicie bezradna w obliczu zachodzących wydarzeń. Gombrowiczowi zasadniczo wierzę, nawet jeśli zmyśla i obiecuje na wyrost. Gombrowicz udrapowany w ozdoby mesjańsko-benjaminowskie mnie zupełnie nie przekonuje. To może dobry moment, aby sformułować jedyną poważną obiekcję wobec przesłania wpisanego w dysertację Piotra Sadzika. Jeśli ta rozprawa ma być czymś więcej niż scholastycznym ćwiczeniem pokazującym, jak ładnie pojęcia Waltera Benjamina pasują do przedstawionych światów i dyskursu metaliterackiego Witolda Gombrowicza albo – co gorsza – że Witold Gombrowicz zrobił w swoich tekstach to samo co Walter Benjamin, tyle że później i chyba gorzej, skoro nikt do tej pory nie rozpoznał jego mesjańskiego geniuszu a geniuszem Benjamina zachwycają się wszyscy i to od dawna, to rozwiązania są dwa. Mniej ambitne i mniej interesujące, to stonować mesjańską obietnicę. Trudniejsze, ale może warte rozważenia, znaleźć w tekstach Gombrowicza argumenty nadające większą konkretność pozytywnościom obiecywanym przez Piotra Sadzika. To nie jedyne problemy z mesjanizmem, przynajmniej w moim odczuciu.

KŁOPOTY Z MESJANIZMEM

Osobliwy mesjanizm jest częścią polskiej tradycji i to jej hegemonicznej części, a Gombrowicz wielokrotnie przeciwko niej występował. Jego antymesjanistycznych tyrad jest wiele, a tych kilka mesjańskich identyfikacji to nawet nie „parodie konstruktywne”, co

profanacje czy po prostu żarty. Dowodem niech będzie fragment cytowany w recenzowanej pracy: „Poniekąd czuję się Mojżeszem. Zabawna, doprawdy, w naturze mojej ta skłonność do przesady na własnym punkcie. W marzeniach nadymam się, jak mogę. Ha, ha, dlaczego – zapytacie – czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka, z niego samego wyprowadzam”. Gombrowiczowskie użycia kategorii teologicznych i mesjańskich pozostają niesłychanie wybiórcze i cząstkowe, i dlatego raczej trudno je w pełni utożsamiać z funkcjonowaniem tych pojęć u filozofów przywoływanych w pracy. U takiego Benjamina mesjanizm wyrasta np. z założenia, że świat jest upadły. Jeśli nawet owa upadłość oznacza deziluzję porządku transcendencji i symbolicznej referencji, to u Gombrowicza tego rodzaju rozpoznania najczęściej znajdowały swój wyraz w dyskursie omalże triumfalistycznym, ewentualnie w parafrazie po części będącej parodią modernistycznych i egzystencjalistycznych dyskursów. Uważam więc, że Piotr Sadzik przeszacowuje znaczenie metafory mesjańskiej w przypadku jej użycie przez Gombrowicza i Jeleńskiego. Mówienie o kryptoteologii jego tekstów to przesada. Ta sakralizacja to tylko jedna z figur retorycznych, po części *parodia sacra*, po części jeden z toposów klasycznej, przedemancypacyjnej retoryki homoerotycznej. Mówiąc wprost: Gombrowicz odnajdywał zbawienie na Retiro, a nie w skupionym namyśle nad takimi czy innymi świętymi księgami. Niewykluczone jednak, że to mój problem i po prostu nie rozumiem historiozofii Waltera Benjamina i jego komentatorów i Piotr Sadzik ma rację czytając w ten sposób Benjamina. Nie chcę przesądzać sprawy, jaka będzie przyszłość tej mesjańskiej wykładni. Może sam Sadzik uzupełni argumentację, a może w tej interpretacji znajdą inspirację inni gombrowiczolodzy i gombrowiczolozki, i wówczas okaże się, że nie miałem racji.

Rodzi się jednak pytanie o to, jak wiele Piotr Sadzik mówi na temat „pozytywności”, którą zwiastują mesjańskie obietnice. Warto o to pytać, ponieważ Agamben wydobywając pojęcia „nagiego życia” czy „*homo sacer*” z archaicznej przeszłości prawa rzymskiego aplikuje je do współczesności: do problemów uchodźców (wcześniej więźniów łagrów), jako istot pozbawionych jakichkolwiek praw poza iluzorycznym prawem do życia, ewentualnie w *Homo sacer* wprost powiada, że awatarami „nagiego życia” w nowoczesności są „życie biologiczne, seksualność i tak dalej”. (Inna sprawa, że zdarza mu się wykonywać w tej książce gesty bardziej pasywne: „Nie jest naszym zamiarem wypowiedanie się tutaj w trudnej kwestii eutanazji, która dzieli dziś opinię publiczną i w pewnych krajach zajmuje ważne miejsce w debatach medialnych”). Przywołałem już znaną uwagę o „tradycji uciśnionych”, dla których „stan wyjątkowy” przestaje być wyjątkowym. Także Piotr Sadzik nieśmiało wspomina

o „znośniejszej kondycji” (s. 37), „sprawiedliwszym ułożeniu rzeczy” (s. 335), „ciut lepszym obrocie spraw” (s. 333), ale niełatwo powiedzieć, jak miałyby to wyglądać. Gombrowicz wątki emancypacyjne podejmował eksplicytnie, Sadzik ich nie dostrzega, woli zachowawczą na ogół retorykę mesjańską. Parę sugestii wskazywałoby na to, że te „pozytywności” musiałyby mieć coś wspólnego z „ocalaniem pojedynczości”. Jeśliby chcieć to wyrażać poetyzmami Benjamina – iskrami czystej mowy czy imionami – to o Gombrowiczu chyba za wiele nie uda się powiedzieć. Agambenowskie „nagie życie” Sadzik sam odrzuca, a Benjaminowskie użycie kategorii uwikłane jest, co gorsza, w przedustawną winę. Jeśli Schmitt odkrywał teologiczne w politycznym („wszystkie istotne pojęcia z zakresu współczesnej nauki o państwie to zsekularyzowane pojęcia teologiczne”), a Agamben zastanawiał się nad tym, jak zdyskontować to odkrycie w celu zdemontowania struktury stanu wyjątkowego, ale nie przez sekularyzację a przez profanację, to poprzestawanie na rozpoznawaniu teologicznych podtekstów u Gombrowicza również oznacza interpretację zachowawczą. Niemniej jednak u Benjamina i Agambena faktycznie projekt nowych form życia znajduje swój wyraz w konsekwentnie rozwijanym dyskursie mesjańskim i w obrazach zbawionej ludzkości. Trudność polega jedynie na odróżnieniu deskrypcji i profecji w Agambenowskiej genealogicznej analizie suwerenności, stanu wyjątkowego, historii biopolityki i aktualnej polityki. Agamben w *Profanacjach* odróżnia sekularyzację od profanacji. Ta pierwsza to np. polityczne zeświecczenie pojęć teologicznych dokonujące się w przejściu od boskiej transcendencji do paradygmatu suwerennej władzy – co jednak nie powoduje uszczerbku na samej władzy. Profanacja to likwidacja oddzielenia, na którym opiera się religia, i przywrócenie życiu i użyciu. Jeśli często cytowany autokomentarz do *Ślubu* o „przejściu od Kościoła Boskiego do Kościoła Ludzkiego” trzeba chyba uznać za bodaj dosłowne ujęcie sekularyzacji, to praktyki parodystycznych przechwyceń pojęć religijnych przez Gombrowicza chętnie nazwałbym gestami profanacyjnymi.

PROBLEMY Z JEDNOSTKOWOŚCIĄ

Figury „korsarza”, „suwerena”, „partyzanta” i „historyka” mają stanowić próby testowania „możliwości wydobywania się jednostki z przestrzeni obowiązującej formy stanu wyjątkowego” (s. 9), językowymi wykładnikami tego mają być figury onomatopei, performatywu, parentezy i pauzy. A więc istnieje u Gombrowicza jakieś przynajmniej subwersywne zewnątrz stanu wyjątkowego, nie jest on nieuchronny i wszechobejmujący. Ogranicza się jednak tylko do poetyki, ewentualne próby przekładu na problematykę ontologiczną i polityczną są u Sadzika dosyć zachowawcze. Aspekt ontologicznego kryzysu, o którym pisze w całej pracy Sadzik, już omawiano przy użyciu innych języków interpretacyjnych, także w odniesieniu do kontekstów historii, władzy, polityki, tożsamości.

Wykorzystywano w tym względzie m.in. takie pojęcia jak: Realne, perwersja, „myśl słaba”, habitus, performatyw, aporia obywatela i człowieka. Pozwalały one zarówno na diagnozowanie strukturalnej słabości porządku kulturowego, jak i na insynuowanie pewnych ideowych alternatyw czy pozytywności.

Jedną z najważniejszych subwersywnych strategii zaproponowanych przez Piotra Sadzika jest zapożyczona od Gershoma Scholema idea „drobnej poprawki”. Mam spore wątpliwości, czy koncept ten dobrze opisuje taktyki gombrowiczowskich rebeliantów. Niektóre może tak, do pewnego np. momentu daje świetny opis taktyk Fryderyka jako „zawsze nieznacznych na pozór, lecz apokaliptycznych w skutkach gestów” (s. 275). Ale czy wszystkie? Pytanie jest zasadne, bo ta formuła pojawia się także w innych rozdziałach. Na to pytanie odpowiedziałbym zatem, że raczej nie, ponieważ niektóre jego akcje przypominają radykalizm i skrajność ekscesów innych protagonistów: „milczenie” Iwony, wprost wypowiedziany protest Gałkiewicza, intrygi Józia, ekscesy Miętusa, ekstrawagancje Gonzala. Sam Sadzik przecież pisze o nim tak: „obnażanie, które inicjuje Fryderyk, nie jest żadną łagodną demaskacją, jeśli przez słowo to rozumieć przegnanie jednych, fałszywych norm, ażeby odnaleźć inne, właściwsze. Gdyby tak było, Fryderyk nie przerażałby się tak potencjalnymi skutkami własnych działań” (s. 256). Można by się jedynie zastanawiać, czy w *Iwonie, księżniczce Burgunda* jest przedstawione „życie w stanie wyjątkowym w którym najniewinniejszy gest i najdrobniejsze niedopatrzenie mogą mieć daleko idące konsekwencje” (s. 78). Na tzw. pierwszy rzut oka tak, ale może tylko na tzw. pierwszy rzut oka. Może jeszcze niektóre zachowania Leona można by tak scharakteryzować. Może jednak „drobna poprawka” pojawia się w ogóle niepotrzebnie czy niesłusznie, bo jest zupełnie inaczej i u Benjamina? A przynajmniej u Benjamina czytanego przez Sadzika, bo właściwie nie czuję powołania do przesądzania, jak się sprawy mają u samego filozofa. Sadzik opisuje jego polemikę ze Schmittowską koncepcją suwerennego stanu wyjątkowego przeprowadzoną w pracy o dramacie żalobnym przy użyciu określeń: „drobnej, lecz znaczącej modyfikacji” (s. 35), „przebiegłej polemiki” (s. 35), „chytrego podważenia” (s. 36), „zakamuflowanej polemiki” (s. 36), „doskonałej imitacji” (s. 36), „maksymalnego zbliżenia” (s. 36), „minimalnej i właśnie dlatego niszczącej różnicy” (s. 36), „delikatnej przestawki” (s. 36) – z powodu niedostrzeżenia tych subtelności obrywa się dwukrotnie benjaminologom (s. 35, 36). Tymczasem u Benjamina czytanego (skądinąd słusznie, jak mi się zdaje) przez Sadzika dalej ta polemika wygląda naprawdę tak: „Zamiast zasadniczej dla Schmittiańskiej aksjomatyki wzniosłości suwerennego decydowania, barokowy suweren z pracy Benjamina jest trwale niezdolny do podjęcia decyzji, nie stanowi też ulokowanego w ziemskiej przestrzeni depozytariusza transcendentnej sankcji,

ale jedną z wielu niezgrabnych postaci stworzonego świata, w którego płynnym żywiole kapitulują wszelkie roszczenia do panowania. Z tego też względu stan wyjątkowy nie odpowiada już, wbrew założeniom Schmitta, cudowi, a zatem aktowi przerywającej mechanikę ziemskich wypadków boskiej interwencji, ale przemienia się w piętrzącą ruiny i stopy trupów permanentną katastrofę” (s. 35-36). Jeśli to jest drobna interwencja w suwerenny ład, to jak musiałaby wyglądać jego radykalna destrukcja? Inaczej mówiąc: „słabe” kategorie zastosowane do opisu tej polemiki nie bardzo pasują, ponieważ przychodzi mieć tu do czynienia z fundamentalnym przewartościowaniem, które trafniej byłoby chyba określać przy użyciu pojęć: parodii, dekonstrukcji, „śmierci Boga” itp., skoro suweren zostaje wyśmiany ze względu na swoją impotencję, brak legitymizacji ze strony transcendencji, komiczność swojej figury, a cała rzeczywistość jest ruiną, cmentarzyskiem i katastrofą (i dlatego w innym miejscu pracy Sadzik tę polemikę przedstawia jako „jawne odwrócenie do góry nogami” [s. 155]). Ponadto jeśli tego rodzaju taktyki oznaczają – jak u Krausa czytanego przez Benjamina czytanego przez Lipszyca – imitacyjne „przechwytywanie jego (języka mitycznego – dop. M.B.) gestów i wykorzystywanie ich przeciw niemu samemu” (s. 285-286), to wypadałoby pamiętać, że w gombrowiczologii opisywano je wielokrotnie i przy użyciu świeższych i chyba nośniejszych operacyjnie konceptów Goffmana, Bourdieu i Butler.

Zastosowanie Benjaminowskich pomysłów „drobnej poprawki”, opartej na strategiach niewiernej mimikry, każe zapytać, jak one by się miały do jednej z antyrealistycznych, odrealniających taktyk Gombrowicza, opartej mianowicie na poetyce „powtórzeń”: „I polecam wam moją metodę nasilania przez powtarzanie, dzięki której powtarzając systematycznie niektóre słowa, zwroty, sytuacje oraz części nasilam je potęgując zarazem wrażenie jednolitości stylu do granic nieomal maniackich. Przez powtarzanie, przez powtarzanie najłatwiej tworzy się wszelka mitologia!”. Przedmowa do *Ślubu* przynosi potwierdzenie tej tezy: „przez powtarzanie, zdania nabierają niezmiernego znaczenia” (s. 103). Przypomina się od razu uwaga z *Pasaży*: „Istotą dziania się mitycznego jest powtarzanie”. Żeby jeszcze sprawę skomplikować, dodam frazę Schmitta z *Teologii politycznej*: „Wyjątek jest bardziej interesujący niż normalna sytuacja. Normalność o niczym nie świadczy, wyjątek świadczy o wszystkim; reguła istnieje tylko dzięki wyjątkom, które ją potwierdzają. Wyjątki są wyrazem prawdziwego życia, przełamującym rzeczywistość skostniałą w mechanicznej powtarzalności”. I jeszcze aforyzm Karla Krausa dwa razy przywołany przez Benjamina w esejach *Karl Kraus* i *O kilku motywach u Baudelaire’a*: „Im bliżej człowiek przygląda się słowu, z tym większego oddalenia słowo odpowiada mu spojrzeniem” (wedle innej translacji: „Im bliżej przyglądamy się słowu, tym dalej się ono cofa”). Zatem na płaszczyźnie metaliterackich komentarzy dałoby się zarysować

wspólnotę pomysłów, zasugerowany przez Sadzika efekt, czyli rozpoznanie arbitralności form kulturowych, również byłby podobny – ale taktyki chyba odmienne. Inaczej mówiąc, Gombrowicz niby stwierdza to samo, ale wyzyskuje strukturalną słabość tak rozumianego mitu intensyfikując jego reguły w sposób maksymalny, przez najmocniejsze przegięcia, wyciąganie ostatecznych konsekwencji, redukcję do absurdu, a nie przez nieznaczne odchylenia. I sprawa ważniejsza, nie tylko intuicyjnie może się wydawać, że zasadne w kontekście recenzowanej pracy byłoby rozważyć relację Benjaminowskiego pojęcia „mitu” i Gombrowiczowskiego pojęcia „Formy”. Na ogół czyta się przez nie *Ferdydurkę*, ale pojęcie to pojawia się w autokomentarzach: w jednej z przedmów do *Trans-Atlantyku* forma narodowa: „polska s ł a b a”, a jednocześnie będąca „zbiorową przemocą”, w przedmowie do *Ślubu* zostaje sprowadzona do habitusu: „sposób bycia, mówienia, działania”. Wydaje mi się, że jako struktury opresyjne oparte na naturalizacji (s. 258) mogą mieć ze sobą coś wspólnego z niektórymi z ekscentrycznych cech przypisywanych mitowi przez Benjamina. I niektóre pewnie bez większego kłopotu dałoby się uzgodnić z ujęciami Gombrowicza (np. demoniczność mitu i formy), z innymi mógłby być większy kłopot (w związku z uwikłaniem mitu w problematykę i retorykę losu, winy, ofiary – choć, jak to u Gombrowicza, i coś podobnego by się znalazło, bo w *Trans-Atlantyku* Witold żali się na „wieczne przekleństwo, poniżenie moje” oraz „Wieczny Los mój i Więzienie moje”, Gonzalo swój los uznaje za „błogosławiony”, „słodki, cudowny”, a Rachmistrz chce los zgwałcić). Problem z Benjaminowską mitycznością jako narzędziem heurystycznym do Gombrowicza jest taki, że ze względu na niektóre konotacje i właściwą bodaj wszystkim kategoriom wypracowanym przez tego autora intelektualną i poetologiczną ekscentrycznością spełnia się w tej roli średnio. W porównaniu z Gombrowicza pojęciem „Formy” ów „mit” charakteryzuje się o wiele mniejszą precyzją i jednocześnie pozostaje słabiej ukontekstowany historycznie; brzmi tylko bardziej złowrogo a przez to może efektownie. Nie mówiąc już o tym, że gombrowiczolodzy i gombrowiczolodźki przydali kategorii Gombrowicza niemałej konkretności historycznej, kulturowej, socjologicznej itd.

O jednej z takich mesjańskich katastrof – z *Operetki*, w związku z aporetycznością kategorii „pas” – Sadzik pisze tak: „Jeśli wydaje się zazwyczaj, że zbawcze zwroty w dziełach Gombrowicza przydarzają się *ex nihilo* i z tego względu mają charakter cudu (pozaświatowej interwencji w porządek doczesnych reguł, zawieszający ich mechanikę), to przekonanie takie dowodzi maestrii, z jaką pisarzowi udaje się zamaskować swoją wywrotową kontrabandę” (s. 386). Nie pojawiają się żadne sugestie na temat tego, komu się tak wydaje. Co do mnie, nigdy tak nie pomyślałem w trakcie czytania Gombrowicza. Zawsze wydawało mi się, że to

protagoniści, mniejsza czy świadomie, czy nieświadomie, doprowadzali do zapaści przedstawionych światów.

O zagrożonej w ten sposób „jednostkowości” Piotr Sadzik mówi najczęściej słowami Waltera Benjamina. Chodzi o to, co enigmatycznie nazwał on „rzeczywistym stanem wyjątkowym” (s. 36). Istnieć mają bowiem dwie postaci „stanu wyjątkowego”: suwerennego, zawieszającego prawo w celu umocnienia władzy nad życiem, i mesjańskiego, wyłączającego prawo w próbie wyzwolenia życia (s. 37). Innymi jeszcze słowy, celem ma być „rewitalizacja pojedynczego życia, której służy sformułowanie autorskiej koncepcji witalistycznego podmiotowości” (s. 11). To nie „nagie życie” Agambena, ani nie życie ujmowanie przez kulturę, ani nie któreś z ujęć filozofii życia. „To raczej – pisze Sadzik – nadmiarowa energetycznie resztką, która ma się wytrącać z dialektycznych zmagania każdego z tych pól i która odnajduje życie wyłącznie w ruchu wyłamywania się z wszelkich totalizujących struktur, nie pozwalając im na ostateczną integrację” (s. 12). Brzmi to nawet nieźle, ale wolałbym nie być zmuszony do wyjaśniania, co w praktyce mogłoby to znaczyć. Przy dużej dozie wyrozumiałości, życzliwości i oczywiście odwagi próbowałbym zestawiać tę enigmatyczną definicję z projektami antropologicznymi wpisanymi w *Iwonę, księżniczkę Burgunda*, *Ferdydurkę* czy *Dziennik*. W *Ferdydurce*, *Iwonie*, *księżniczce Burgunda*, a także w *Historii*, w których Gombrowicz w sposób najbardziej radykalny i najbardziej pomysłowy podejmuje próbę wysłowienia jednostkowości. Jedną z tych prób – pojawiającą się w przedwojennym dramacie „giętkość” – zostaje nawet przywołana w recenzowanej pracy przy okazji egzegezy *Ślubu* (s. 177), ale ujęcie z *Iwony, księżniczki Burgunda* pozostaje lepiej skontekstualizowane. Niemniej jednak oba nie przestają być dla siebie wzajemnym objaśnieniem. Podejmowano już próby dookreślenia tej „jednostkowości”: „giętkość” i „bosonoga” – omawiano przy użyciu kategorii Kristevej (abiekt, semiotyczne) i Barthes’a (neutrum), „głos” – czytano Barthes’em (kategoria jako łącząca naturę i kulturę istotna jest także dla Agambena, ale tak Gombrowicza jeszcze nie czytano), „niedojrzałość” – czytano Freudem (nieświadomość), Lacanem (realne), Kristevą (semiotyczne), „nagość” z *Operetki* – Barthes’em (atopia). Zatem Gombrowiczowskie kategorie i ich objaśnienia proponowane przez komentatorów/ki mają charakter figur tekstualnych. To jednak nie wszystko, bo często stają się figurami bio-graficznymi. W przywołanych wyżej utworach Gombrowicz szeregiem prawie ostentacyjnych gestów autobiograficznych utożsamia się z figurami „jednostkowości” i czyni to w sposób przejmujący. Nie sposób czytać ich inaczej niż jako jednej wielkiej skargi jednostkowej ofiary przemocy Międzyludzkiego. Ponadto jest w te trzy utwory wpisany subwersywny subtekst, który na pewno byłby potrzebnym uzupełnieniem przedstawionej

w dysertacji egzegezy, wyczerpująco objaśniającej mechanizmy władzy zwłaszcza w jej prawnej realizacji, ale bardzo niewiele mówiącej o tej „jednostkowości”.

W interpretacji *Trans-Atlantyku* znamienne wypada zbagatelizowanie kreacji Gonzala przez sprowadzenie go do figury ontologicznego dysonansu, a także pominięcie kontekstu autobiograficznego – tak istotnego przy omawianiu *Ślubu* czy *Pornografii*. A ten kontekst nie pozostawia miejsca na wątpliwości: ciało i seks – a nie komplikacje ontologiczne – były dla Gombrowicza wówczas najistotniejsze. W tym względzie istotny rys ważnej dla Sadzika „jednostkowości” to cielesność i seksualność, dokładniej mówiąc: homoseksualne ciało i jego rozkosze przeciwstawione mitycznemu ciału martyrologicznemu. Pod tym względem ascetyczna wykładnia Sadzika wydaje się zupełnie wyabstrahowana z problematyki płci i seksu. Znamienne wypada polemika o *Operetkę* z Jerzym Jarzębskim, którego błąd miałby polegać na traktowaniu nagości w sensie dosłownie rozebranych ciał, a nie jako „metafory postulowanej przez pisarza podmiotowej pozycji” (s. 388; przypis 600) – moim zdaniem ze względu na nazbyt duży ciężar autobiograficznego podtekstu obaj badacze mają rację po połowie (nie chodzi tylko o traumatyczność starości, relacji z młodością, *etc.*, ale również o to, że w Albertynce (Albercie, jeśli uwzględnić bruliony, a są jeszcze Ernest i Ernestynka) kryje się również tajemniczy Alberto marinero, przyprawiający Gombrowicza – jak wiadomo z *Kronosa* – o rozmaite uczuciowe frustracje). Emancypacyjny rys mesjanizmu Benjaminowskiego jest piękną obietnicą, ale we właściwym sobie pomieszeniu poetyckości ze scholastycznością z trudem daje się przekładać na realia współczesności. Interpretacja *Trans-Atlantyku* w tej perspektywie wypada mniej przekonująco i obiecująco niż dotychczasowe kampowe i queerowe stroje, w jakie przystrajano Gonzala, i tym samym mocno przytępia jego subwersywno-emancypacyjny wymiar (kamp pojawia się w kontekście wywrotowej akcji z *Pornografii*, ale nie pasuje tam zupełnie). Chodzi wszak o utwór, który odegrał olbrzymią rolę w historii polskiej literatury homoseksualnej i w środowiskach gejowskich uchodzi za kultowy. A Gonzalo wciśnięty w filozoficzny i mesjański gorset wygląda doprawdy żałośnie. Kamp bez humoru i bez seksu? Sadzik zastrzega, że nie wiadomo, czy Fryderykowi jako postaci kampowej chodzi o pożądanie czy rewolucję. Ale kwestii pożądania nie niuansuje, bo gdyby to zrobił, to musiałby się zastanowić nad impotencją Fryderyka, którą nawet trafnie rozpoznaje, wspominając o właściwym mu „wygaszaniu pragnienia sił popędowej żywotności” (s. 252), aczkolwiek chyba niesłusznie przypisuje tę przypadłość wszystkim powieściowym postaciom, bo Karol, Henia, nie mówiąc już o dionizyjskim Skuziakowi takich problemów raczej nie mają. Że czytanie tej postaci przez kontekst filozofii Friedricha Nietzschego jest obligatoryjne, nie miałem nigdy wątpliwości. Nie jest jednak dla mnie jasne, jakiego rodzaju nihilizm – aktywny

czy reaktywny – jest Fryderykowi w związku z powyższym właściwy. Opisywany przez Sadzika jego potencjał destruktywno-subwersywny sugerowałby, że ten pierwszy. Pozostaje jednak wspomniana impotencja, która mogłaby sugerować, że ta zdolność destrukcji to właściwość „ostatniego człowieka”. Uwzględnienie tej wątpliwości wydaje się zasadne, zważywszy że Agamben powiada w *Homo sacer*, że „nihilizm, w którym jesteśmy zanurzeni” jest ujawnieniem „początkowej struktury suwerennej relacji” (s. 76). W tekście *Mesjasz i suweren. Problem prawa u Waltera Benjamina* (z książki *La potenza del pensiero*) włoski filozof uznaje równoznaczność mesjanizmu i nihilizmu, odróżniając jednocześnie dwie ich formy: niedokonaną, unieważniającą prawo, ale podtrzymującą jego nicość w nieskończenie odraczanym obowiązywaniu, i dokonaną, niepozwalającą przetrwać obowiązywaniu poza jego znaczenie i usiłującą – wedle słów cytowanego Benjamina, których znaczenie nie całkiem pojmuję – „dogrzebać się zbawienia po drugiej stronie tej «nicości»” (s. 33). Jeśli zajrzeć do paratekstów do *Trans-Atlantyku*, to trzeba dojść do wniosku, że problematyka jednostkowości jest kluczowa w kontekście kategorii „stawania się” i ontologiczne perturbacje z pustką mają znaczenie tylko w odniesieniu do jednostkowości. W jednej z przedmów Gombrowicz w niezwykle precyzyjnym dyskursie odróżnia dwa modele podmiotowości: esencjalistyczną i niesencjalistyczną. Tam też można znaleźć sugestie do wydobywania tej powieści z niemożliwego rzekomo do przekroczenia zawieszenia między Ojczyzną a Syncyzną. Sadzikowe próby pisania o jednostkowości często grzęzną w tego rodzaju aporiach i niemożliwościach: „albo (strategia Witolda) poprzez aktywne trwanie w liminoidalnej strefie, gdzie odmawia się akcesu i asymilacji do jakiegokolwiek tożsamościowego wzorca, albo (strategia jego rodaków) poprzez akt rozlewu krwi, który skonsoliduje wspólnotę poprzez aktualizację aktu założycielskiego wspólnoty” (s. 100). To ze względu na obawę przed hegemoniczną władzą nowoczesności anomicznej i ryzyko nowych form suwerenności i tyranii. Raz wygląda to tak: „doprowadzony do ostateczności postulat samostanowienia, oparty na recydywie czystej suwerenności” kontra „nowoczesna deziluzja, która głosi apologię «ja», świadomą jednak przy tym strukturalnej niesuwerenności podmiotu” (s. 184-185). Nieco dalej Sadzik pisze o groźbie dwóch zatrat: albo w „w swoich statycznych rolach z czasów stabilnej metafizyki”, albo „w żywiole międzyludzkiego formowania, które puszczane samopas, jako siła weszbranego kolektywu miota bezradną jednostką” (s. 185-186). Kiedy indziej wspomina o skazaniu na nawigowanie „między Scyllą suwerenności a Charybdą interakcyjnego odpodmiotowienia” (s. 205). Przy jeszcze innej okazji wzmiankuje o dwóch formach „nieżycia”: „wynikiem utknięcia w fantazji, w drugim jej braku, w pierwszym rozbrzmiewa język bez życia, pusta gadanina klisz i ceremonialnych formułek, w drugim

obcujemy z nagim, bezjakościowym i czysto biologicznym życiem, które nie ma języka” (s. 257). W podobnym impasie Sadzik zatrzymuje się komentując przywoływaną już przeze mnie przedmowę do *Trans-Atlantyku*, ponieważ uwagę o „gwałcie” właściwym „nowemu, nadchodzącemu” dopowiada w formie kolejnej pretensji wobec naiwności gombrowiczologii (wspomina o „pobieżnej lekturze Gombrowicza” [s. 67]): „upadek świata «Form» (...) nie musi z konieczności przynieść wyzwolenia” (s. 67). I powiada: „Życie zostaje tu wydane na pastwę całkowicie arbitralnej przemocy, przed którą nie sposób się już schronić za tarczą jakiegokolwiek prawa, w kokonie zasad czy dobrego obyczaju. Władza hegemonicznego dotąd układu uległa zawieszeniu, przypisanej mu przez Gombrowicza «impotencji», która oznacza tu tyleż cielesne niedomaganie, co, dosłownie, nie-możność, zatrąę mocy potrzebnej do panowania. W kontrze do impotencji, niemocy dawnego układu siły nadchodzącego jutra również opisane zostają tu za pomocą figury seksualnej, tym razem jednak związanej z obscenicznością fallicznej przemocy, gwałtem. Miejsce dawnych zasad stabilizujących doświadczenie zastępuje nieregulowana przemoc towarzysząca powszechnej «anarchii»” (s. 67). To jest ta sama opozycja co w starych egzegezach *Trans-Atlantyku*, ten sam impas zatrzaśnięcia się w niesymetrycznym binaryzmie. Co więcej, Sadzik w pewnej mierze ją tu tworzy własnym sumptem, bo powieść nie poręcza fallicznej figury rzekomej przemocy tego, co przynosi „Stawanie się” (i jak należy się domyślać: anarchia, Gonzalo, śmiech, tymczasem autokomentarze z przedmów i *Testamentu* jednoznacznie kategorie „Stwarzania”, „Stawania się” łączą z Gonzalem i waloryzują pozytywnie), bo w niej (tej figurze) atrybut falliczności, tyle że wybrakowanej, impotentnej przypisany zostaje pogrążonej w obłędzie homospołecznej grupie Kawalerów Ostrogi. Z przedstawionych interpretacji wynika po części fałszywa paralela między konstelacjami bohaterów *Trans-Atlantyku* i *Ślubu*, bo moim zdaniem o ile Król i Kobrzycki jako słabi i impotentni przedstawiciele suwerenności stoją po jednej stronie, o tyle Henryk i Gonzalo jako operujący performatywną retoryką „stwarzania” i „stawania się” plasują się w opozycji względem siebie, a sam Arturo miałby więcej wspólnego z Pijakiem, któremu właściwe są „giętkość... i nieustanne stwarzanie się” (s. 169), aczkolwiek do pewnego stopnia, jeśli zważyć zwłaszcza na wzmiankowane bruliony dramatu (s. 196) – łączy się z tym zupełnie, moim zdaniem fałszywe, utożsamienie pozycji pisarskiej Gombrowicza z Henrykiem jako suwerenem (s. 9, 196). W innym miejscu na opozycję Ojczyzny i Synczyzny Sadzik nakłada Benjaminowskie przeciwstawienie dwóch rodzajów przemocy: podtrzymującej i ustanawiającej prawo (s. 108). Łącząc ze sobą te dwie sugestie trzeba by widzieć Gonzala po stronie Prawa i fallicznej przemocy – zważywszy na właściwe mu libertynizm, wyluzowanie i niechęć do przemocy nie sposób zgodzić się na taką wykładnię. Istnieje kilka prac, które ten

dylemat rozwiązują, poczynawszy od Jeleńskiego, który uznawał ten dylemat za pozorny i wymuszony obawami przed konserwatywnym odbiorców, skończywszy na pracach z pewnego tomu zbiorowego, który otworzył Gombrowicza na lektury genderowe i queerowe. Dalej o Gombrowiczu pisze Sadzik tak: „Nigdy wbrew pozorom nie odrzuca całkowicie «kulturowych form», które określałyby życie, ale raczej pragnie takiego ich przekształcenia, by przestały pętać elementarne jednostkowe odruchy, by przestały krępować jak gorset nasze gesty, a może nawet, w ostateczności, zaczęłyby sprzyjać każdemu konkretnemu i poszczególnemu życiu zamiast podporządkowywać jednostkę kolektywowi czy wpisywać to, co pojedyncze w strukturę ogólności” (s. 67). W ogólności brzmi to dobrze. Kiedy jednak uzmysłowimy sobie, o jakie „kulturowe formy” chodzi w *Trans-Atlantyku*, bo chodzi o Ojczyznę jako przeciwieństwo Syncyzny, to doprawdy trudno przypuszczać, że Gombrowicz nie chciałby ich ostatecznie porzucić. Chyba że w ujęciu Piotra Sadzika Syncyzna nie ma nic wspólnego z opisywanym przez niego witalizmem, jednostkowością itd. Problem z Sadzikowym omówieniem przywoływanej już przeze mnie przedmowy z roku 1957 jest taki, że czyta on ją z perspektywy wspomnianego w niej roku 1939, w której Gombrowicz mówi wiele o zbankrutowanej, ale też opresywnej przeszłości, a bardzo niewiele o rzekomo zagrażającej przyszłości, tak jakby w ciągu tych prawie dwudziestu lat nic się nie wydarzyło, tak jakby udziałem Gombrowicza nie były żadne nowe doświadczenia, jakby nie przyjął, choćby i na własnych warunkach, żadnych aktualnych i argentyńskich Form – np. tych, które zostały wpisane w *Trans-Atlantyk*: pikietowych doświadczeń, queerowości Kubańczyków, kampowej estetyki i pozerskiej autokreacji Argentyńczyków, lektury *Biblioteki Babel* itd., itd.

Bodaj najbardziej zdecydowana próba zdefiniowana pola zbieżności między mesjanizmami teorii krytycznej i Gombrowicza opiera się na zastrzeżeniu, że ów mesjanizm „nie jest w żadnym razie tradycyjnym mesjanizmem, który za punkt odniesienia miałby jakąś figurę transcendencji. Intuicja mesjańska spełnia się tu w ściśle ziemskim horyzoncie immanencji, realizując się przede wszystkim do podstawowego urządzenia, które organizuje kształt naszego życia, a więc kategorii prawa. W tradycji tej efektem działań mesjańskich jest więc wygaszenie istniejących podziałów, zarówno etnicznych, jak i ekonomicznych, klasowych, płciowych czy nawet gatunkowych, to chwila poluzowania wszelkiej stadnej identyfikacji i relacji przynależności, której celem jest umożliwienie pojedynczym istnieniom życia poza ścisłą kuratelą owych podziałów” (s. 13-14; to samo na s. 269). Brzmi to dobrze, być może dałoby się to nawet udowodnić w interpretacji. Niestety, Piotr Sadzik nie sięga po teksty, które – jak mi się wydaje – mogłyby być przesłanką w podobnym przewodzie, a ewentualne argumenty z tekstów, które bierze pod lupę, zdaje się pomijać, bo wyliczone

w przywołanym cytacie konteksty: etniczne, ekonomiczne, klasowe, płciowe i gatunkowe, nie odgrywają w jego rozprawie ważniejszej roli. Więcej nawet: poza wzmianką w interpretacji *Trans-Atlantyku* prawie w ogóle nie zostają sproblematyzowane (s. 90).

Jakimś rozwiązaniem są ujęcia tego rodzaju: „Odkrycie «ja» może być momentem zachwycającej emancypacji, wyłonienia się wreszcie swobodnej jednostki, żyjącej w dystansie wobec wszelkich społecznych ról i powinności, które chciałyby dokonać jej sformatowania, nie-dość-przynależącej do jakichkolwiek kolektywnych identyfikacji” (s. 203); „Niedosocjalizowany, niedoformowany i nedorobiony podmiot, który wyłania się z tego procesu nie plasuje się więc ani wewnątrz kolejnych starających się go opisać porządków, co zakładałoby jego pełną asymilację, a i w ich zewnątrz, co groziłoby z kolei zneutralizowaniem go jako figury zwykłej obcości” (s. 68). Określenie z prefiksami „niedo-” są jednakże formułowane z perspektywy zsocjalizowania, uformowania, dorobienia, nie zachowują zatem pełnej symetrii w tych binaryzmach. W tym fragmencie Sadzik o jednostkowości mówi najwięcej, utożsamiając ją również z „podszyciem dzieckiem” (s. 67), aczkolwiek nie parafrazuje tego sformułowania, co zresztą byłoby kolejnym podważeniem cezury wojennej. Zaraz jednak wycofuje się i sytuuje przesłanie Gombrowicza w strukturze „pomiędzy”, która jest ostatecznie aporią i impasem. Pisze bowiem o wahaniu między „anarchią dziecięcego nagiego życia” a poddaniem się „chcącemu nas określić systemowi” (s. 68), między „dziecięcą nieokreślonością a sztywną tożsamością dorosłego” (s. 68). Bardziej obiecująca jest formuła wyłamania się „z porządku form symbolicznych (...) ze względu na swój energetyczny życiowy nadmiar” (s. 68), ale objaśnienie owego „nadmiaru” na pewno byłoby łatwiejsze przez odniesienie się do innych tekstów, przede wszystkim znowu *Ferdynurki*. Niezłym rozwiązaniem jest zapożyczona od Agaty Bielik-Robson kategoria liminoidalności – umieszczenie się na progu, zwłoka (s. 69). Tyle tylko że pasuje to do powieściowego Witolda, zarazem jednak oznacza to utożsamienie go z Gombrowiczem i zlekceważenie roli Gonzala, który prócz wszystkich swoich tożsamościowych, queerowych ekstrawagancji jest – jak to zwykle u tego autora – sobowtórą figurą odsyłającą do realnych, egzystencjalnych jego doświadczeń: przekroczeń tożsamościowych, seksualnych itd., o których jednak nie odważył się napisać wprost.

PROBLEMY Z METODĄ

Piotr Sadzik jest silnym interpretatorem. Dzięki swojej imponującej erudycji, błyskotliwości skojarzeń, mistrzostwie cytowania i pisarskiej wirtuozerii z łatwością i wdziękiem przebiera w nieprzeliczonych kontekstach filozoficznych, kulturowych, historycznych *etc.* i dopasowuje je do tekstów, które interpretuje. I – jeśli wolno mi pozwolić

sobie na takie utożsamienie – ta jego metoda jest bardzo bliska temu, co sam usiłuję robić z tekstami Gombrowicza. Różni nas jednak może to tylko, że w trakcie czytania komentarzy do Gombrowicza (i nie tylko zresztą), niezmiennie bardziej interesuje mnie to, co ich autorzy/ki powiedzieli, niż czego nie powiedzieli. Hermeneutyczna siła Sadzika powoduje, że w trakcie czytania jego interpretacji o lepsze walczą dwa impulsy: zdziwienia, że nikt wcześniej pewnych rzeczy w tekstach Gombrowicza nie zauważył, bo zainsynuowane przez Sadzika wyglądają tak sugestywnie, z nagłą potrzebą weryfikacji, czy te interpretacyjne analogie nie są przesadzone. Więcej nawet: im bardziej przywołany kontekst lepiej konweniuje z analizowanym kontekstem, tym większa rodzi się wątpliwość co do zasadności jego aplikacji. Zawsze więc w takich razach rodzi się pytanie o kryteria doboru wykorzystywanych kontekstów. Ile w tym geście wyboru jest interpretacyjnej przemocy? Oczywiście, każda interpretacja jest w jakiejś mierze przemocowa, pytanie brzmi raczej, gdzie staje się nadużyciem. Mimo wzmiankowanej już wyjątkowej plastyczności Gombrowiczowskiego tekstu, jego niepospolitej podatności na parafrazę w różnych językach teoretycznych, w moim odczuciu nie każdy z języków do niego pasuje. W tak realizowanej metodzie Piotr Sadzik jest niezwykle metodyczny, z niezwykłą konsekwencją aplikując wybrane narzędzia interpretacyjne do literackich tekstów. Czasami jednak, w moim odczuciu, ta jego konsekwencja jest nazbyt wielka. Nie chciałbym jednak demonizować warsztatu filologicznego Piotra Sadzika nie tylko dlatego, że my wszyscy, fani i fanki, czytelnicy i czytelniczki Witolda Gombrowicza postępujemy tak samo, tzn. bez skrupułów wciskamy jego teksty w teoretyczne gorsety. Można by bowiem odwrócić perspektywę i rzec, że to sam Witold Gombrowicz i specjalna właściwość jego tekstu zmuszają nas do takiego postępowania. To się zaczęło jakoś z końcem lat dziewięćdziesiątych wraz z ofensywną metodologią poststrukturalistycznych, kiedy okazało się, jak niebywale łatwe jest utożsamianie myślenia Gombrowicza z feminizmem, *gender studies*, *queer theory*, „zwrotem analnym”, intertekstualnością, tekstualizmem (w stylu Barthes’a), dekonstrukcją Derridy, psychoanalizą Freudowską, Lacanowską i Kristevowską, studiami nad traumą, „literaturą światową”, ekokrytyką. Interpretacja w optyce Benjaminowsko-Schmittowskiej była więc nieuchronnością i Piotr Sadzik musiał zrobić to, co zrobił. I bardzo dobrze, że padło na niego.

Jednakże niektóre teorie stawiają pewne wymagania tym, którzy chcieliby je aplikować. Tak się rzeczy mają w przypadku założeń ideowych Waltera Benjamin, który z dużą konsekwencją upominał się o ocalenie tego co jednostkowe. Istnieje zatem ryzyko zdrady własnych założeń i np. zastanawiam się, czy metoda analizy Piotra Sadzika nie wchodzi w konflikt z istotną dla niego kwestią „ocalenia pojedynczości”. Tak mi wygląda książka *Regiony pojedynczych herezji*, gdzie wielu różnych autorów – i ich „pojedyncze herezje” –

zostaje sprowadzonych do wspólnego mianownika i nawet mimo zastrzeżeń autora o szczególności kontekstu „tożsamości” marańskiej jest to dla mnie postępowanie redukcyjne. W tym gronie znalazł się i Gombrowicz, marańska kwalifikacja dotyczy omawianego również w doktoracie opowiadania, jego protagonisty i samego pisarza, o czym Sadzik w książce pisze tak: „Jeśli z grona możliwych tropów uprzywilejowuję właśnie historię Czarnieckiego, to jest tak również dlatego, że dostrzegam w niej źródła najbardziej może rozpoznawalnej marańskiej postaci polskiej kultury, choć oczywiście nigdy nierozpoznanej w roli marana” (s. 112). Jak rozpoznać coś w czymś, czym to coś nie jest? Oto jest pytanie. To trochę tak, jak z wróblem w *Kosmosie*: „Nie, nie był to wróbel, ale przez to samo, że nie był wróblem, był jednak nie — wróblem, a będąc nie — wróblem, był cokolwiek wróblem...” Nie żartuję, podobnie rzeczy się mają z maranizmem i mesjanizmem u Gombrowicza. Chodzi mi o to, że Gombrowicz – użyję częściej w tej pracy formuły, która mi się podoba – robi u Sadzika za marana, ale nie można powiedzieć, że nim był, wolno, co najwyżej, sugerować jakieś analogie, tak samo jak z pokrewną kategorią „żydowskości”, z którą Gombrowicz wprost się identyfikuje. Staram się myśleć trochę inaczej niż Piotr Sadzik i nie argumentuję, że np. Gombrowicz nie był maranem czy Żydem (bo nie był ani jednym ani drugim). Pytam raczej o korzyści z tego rodzaju utożsamień interpretacyjnych. Jeśli opatrzenie Gombrowicza jakąś formułą jest hermeneutycznie opłacalne, jeśli objaśnia czy nazywa coś, czego nie wiedzieliśmy, nie rozumieliśmy, to warto podejmować takie ryzyka.

(Na marginesie i dosłownie w nawiasie powiem o jeszcze jednej kwestii. Fragment o rzeczonyj noweli – prócz wersji z doktoratu – czytałem już chyba w trzech miejscach. Rozumiem, że drukowanie w czasopiśmie bądź tomie zbiorowym, a później książce autorskiej, to praktyka częsta i zupełnie normalna. Kiedyś krążyła anegdota o tym, że pewnemu znanemu profesorowi zaproponowano dwukrotny druk tego samego artykułu w jednej i tej samej zbiorówce. Był to, oczywiście, złośliwy żart, ale znany profesor w pierwszej chwili się zawahał... Myślę, że Piotr Sadzik będzie miał, a w każdym razie powinien mieć, pewien dylemat, kiedy będzie redagował książkę na podstawie doktoratu, bo niektóre fragmenty funkcjonują już od jakiegoś czasu w obiegu czytelniczym w kilku odsłonach (niewykluczone, że nie trafiłem na wszystkie). Nie chodzi mi nawet o ryzyko autoplagiatu, ale po prostu o to, że dla oddanych czytelników pism Piotra Sadzika, takich jak ja na przykład, stanowi to pewien problem w przypadku chęci odwołania. To nie tylko konieczność czytania kilka razy tego samego, ale i wątpliwość, którą z wersji traktować jako najważniejszą, bo one minimalnie się w niektórych miejscach różnią.)

Na taki osobliwie projekcyjny esencjalizm wygląda sposób myślenia o literaturze Piotra Sadzika. Inny przykład: „Stany wyjątkowe wyznaczają więc na różne sposoby podstawową oś akcji wielu dramatów Szekspira (...). W efekcie wszelki dialog ze sztukami Szekspira musi przemienić się zatem także w dialog z ideą «teologii politycznej» oraz wypracowaną na jej podstawie definicją stanu wyjątkowego” (s. 149). Sadzik hipostazuje pewne kwestie czy założenia i dlatego może znajdować w interpretowanych tekstach to, czego zdaje się poszukiwać – jeśli tylko założyć, że interpretacja ma być nie odkrywaniem czegoś już istniejącego a właśnie poszukiwaniem. Zarzucając – ależ określenie! – „lokalnej gombrowiczologii” (s. 153), przeoczenie jaskrawych podobieństw myślenia Gombrowicza i Benjamina powiada, że Gombrowicz „podejmuje się krytyki Schmittiańskiego modelu teologii politycznej” (s. 153). Tak sformułowane zdanie jest nonsensem, Gombrowicz nie znał tego modelu, nie jestem nawet pewien, czy myślał podobnie jak Schmitt, bo praca Sadzika mnie w tym stuprocentowo nie utwierdza.

Zastanawiający jest też pewien kontekst, który określiłbym jako okoliczności lektury Piotra Sadzika. Egzegeza przedstawiona w doktoracie wygląda, jakby Gombrowicz został przycięty do zakresu wiedzy określonego już przed napisaniem rozprawy. Zastanawiam się, czy rezultat przedstawionej w rozprawie wykładni nie był znany już przed jej napisaniem. Jeszcze inaczej mówiąc: czy Piotr Sadzik nie przystępował do czytania Gombrowicza wiedząc zawczasu, co w nich znajdzie? Jakimś potwierdzeniem jest zapowiedź przyszłych interpretacji przedwojennych tekstów i *Kosmosu* z podaną zawczasu interpretacyjną tezą (s. 9). Przypomina mi się uwaga Michela Foucault, który rzekł, że gdyby wiedział do czego doprowadzi go pisanie, to nigdy by tego nie zaczynał. Nietrudno bowiem zauważyć, że zastosowane konteksty mesjanizmu, kryptoteologii, maranizmu, dekonstrukcji, wszystkie były obecne w środowisku intelektualnym Piotra Sadzika. Nie jest to zarzut dyskredytujący, bo zawsze funkcjonuje się w obrębie jakiejś wspólnoty interpretacyjnej (aczkolwiek jest znamienne, że zaufanie do tej wspólnoty jest odwrotnie proporcjonalne do ufności w ustalenia gombrowiczologii), a po części to konsekwencje rynkowej logiki narzuconej Akademii w efekcie czego premiiowane są przedsięwzięcia kolektywne. Zdarza się taka okoliczność całkiem często, pamiętam jak po M.P. Markowskiego omówieniach Barthes’a, Nietzschego, Derridy i Gombrowicza (prawie) wszyscy (prawie) wszystko czytali przez opozycję bezpośredniości i zapośredniczenia i jej pochodne. Wcześniej jeszcze wszyscy czytali i pisali jak Nycz zajmując się szeroko pojmowanym modernizmem. Najwyraźniej teraz nadeszła era Adama Lipszyca i Agaty Bielik-Robson zaczytanych w Benjaminie. W rezultacie wszyscy piszą tak samo i o tym samym, ale to też nie jest czymś absolutnie nowym, bo to podstawowa reguła Akademii: pisać takie same

teksty. Jeśli pisze się inaczej, to z Akademii się po prostu wylatuje, by wskazać najbardziej spektakularny przykład Nietzschego *Narodzin tragedii* albo nawet Benjamina pracy o barokowych dramatach.

Te lekturowe zapośredniczenia Piotra Sadzika tworzą zawrotne czasem konstrukcje. Na przykład taką oto: „Polemicznie *avant la lettre* wobec dokonanej przez Agambena krytyki Derridiańskiej interpretacji przypowieści *Przed prawem* Franza Kafki (...) Gombrowicz uprawia raczej” itd. (s. 71). Innym znów razem przyjmuje to taką formę: „Jeśli nowoczesność to u Gombrowicza istotnie niedokończony projekt to właśnie dlatego, że wbrew swoim obietnicom, nie rozsuptała ona patogennego supła religii, ocalając fantazmat pełnej suwerenności, przekodowany jedynie na ciała obywateli świata już postfeudalnego” (s. 186). W zdaniu tym Sadzik mówi Habermasem, Schmittem, Benjaminem, Agambenem, Freudem, pewnie kimś jeszcze, ale ograniczona erudycja nie pozwala mi dokonać pełnej atrybucji. Nie zawsze tak jest, często Piotr Sadzik pisze w sposób sobie tylko właściwy i urzekający swoją urodą, ścisłością i zapożyczeniami z różnych rejestrów językowych (zwłaszcza potocznego: „robi za kogoś lub coś”, „tasują się”, to ulubione figury idiomu Sadzika, przynoszące mi wytchnienie do żargonu benjaminowskiego), niemniej jednak zdarza się, że jego dyskurs przypomina pudło rezonansowe, w którym mieszają się idiomy teoretyczne i pojęcia, dość odległe od retoryki Gombrowiczowskiej – jak choćby w powyższym cytacie z pojęciami u autora *Ferdydurki* nie występującymi. Nie sugeruję, że nie można ich z tekstami Gombrowicza konfrontować, nic podobnego. Chodzi mi jedynie o proporcje i o unikanie sytuacji, w których „to nie my mówimy słowa, lecz słowa nas mówią”. Cytowanie samego siebie (s. 214) to inny i chyba najdobitniejszy przykład pragnienia pozostawania w obrębie tego, co już przeczytane. Jeśli jednak zasadniczym przesłaniem pracy Piotra Sadzika jest opisanie usiłowań Gombrowicza ocalenia jednostkowości przed presją Formy, to tak się osobliwie złożyło, że jest ono prawie identyczne jak opis filozoficznego projektu Waltera Benjamina jako próby wyswobodzenia pojedynczości spod władzy mitu autorstwa Adama Lipszyca. Analogie sięgają zresztą dalej, ku samej głębokiej strukturze pracy: jeśli u Sadzika mamy heurystyczne kreacje korsarza, suwerena, partyzanta i historyka, to schemat Lipszyca również wspiera się na figurach form działania: tłumacza, filozofa, krytyka literackiego i historyka. Jeśli tym pierwszym u Sadzika odpowiadają figury: onomatopei, performatywu, parentezy i pauzy, to u Lipszyca mamy takie oto m.in. działania mesjańskie: alegorię, cytat, gest – kilka zatem znowu się powtarza, niektóre z pozostałych również wywodzą się od Benjamina, ewentualnie jego komentatorów: Schmitta czy Agambena. Niewiele przesadzając, można by stwierdzić, że przedstawionym w recenzowanej rozprawie wykładniom bliżej do Lipszyca i Benjamina niż do

Gombrowicza. Trudno powiedzieć, czyj to problem: Gombrowicza, który został Benjaminem, czy Lipszyca, którego ten pomysł był i jest własnością. Zastanawiam się nawet, czy w rozprawie Piotra Sadzika bardziej zasadniczą rolę odgrywa jakiś kontekst czy wątek z tekstu Gombrowicza, który nie ma związków z tematami podejmowanymi przez Benjamina, Schmitta i ich komentatorów oraz komentatorki. Prawdziwy problem może być taki, iż praktyka interpretacyjna Piotra Sadzika polega niezwykle często na objaśnianiu tekstowych figur Gombrowicza za pomocą objaśnień figur tekstowych innych autorów: gestu Kafki czy partyzanta i pirata Schmitta. Opierają się te poczynania na moim zdaniem złudnym założeniu semantycznej tożsamości pojęć czy figur: gest to gest, pirat to pirat (nawet jeśli jest korsarzem), mesjanizm to mesjanizm, niezależnie od tego, kto i w jakich okolicznościach tych słów, konceptów czy kreacji używa. Czytając komentarze Benjamina, Hamachera i Lipszyca do tych kategorii, Sadzik milcząco zakłada ich tożsamość. Czy to w ogóle możliwe? Musiałyby mieć te definicje Benjamina i Hamachera wartość uniwersalną czy paradygmatyczną. Nie trzeba zaglądać do tekstu Hamachera (choć warto), żeby nabrać wątpliwości co do tego, czy opis skonstruowany na podstawie twórczości pisarza skłonnego do idiomatyzacji figur tekstowych jak Kafka może mieć podobnie ogólne zastosowania. Tekst Hamachera jest imponujący w swej skrupulatności, ale i hermetyczności, mocno wyrwane przez Sadzika z kontekstu cytaty są efektowne i zdają się pasować do fragmentów z *Pornografii* (samo ich omówienie przez Sadzika jest bardzo dobre), obawiam się jednak, że jest to podobieństwo złudne i uzgodnienie reszty uwag Hamachera z ujęciem Gombrowicza byłoby po prostu niemożliwe albo nonsensowne. Choćby dlatego, że wskazane u Gombrowicza zachowania Fryderyka są gestami w sensie najdosłowniejszym z możliwych, a figury opisywane przez Hamachera za takie trudno uznać poza jego koncepcją interpretacyjną – np. ktoś taki jak Odradek, spuszczone głowa, dźwięk dzwonka, obciążone plecy, garb. Pokusy, którym ulega Sadzik rozumiem, bo od razu łapię się na myśli: ale by to do Schulza pasowało! Inercja metody interpretacyjnej wymuszonej wejściem w koleinę Schmittowsko-Benjaminowsko-Agambenowsko-Lipszycowo-Robsonową przesądza o tym, że Gombrowicz objaśniany jest konceptami Schmitta i Benjamina przy założeniu, że dokładnie przylegają do tekstu Gombrowicza, a jeśli zaczynają za mało je przypominać, to zostają uznane za rodzaj polemiki (np. ze Schmittem), ewentualnie za rozwiązanie oryginalne, ale jakoś i tak pokrewne. Inne tradycje interpretacyjne w rozprawie Piotra Sadzika nie występują.

Mimo że uznaję Sadzikową wykładnię *Ślubu* za lepszą – wnikliwszą i bardziej ukontekstowaną – od odczytania Jill Harnesberger, to zdaje mi się, że przewaga jej podejścia polega na tym, że w swojej paraleli usiłuje zachować autonomię obu projektów filozoficzno-

literackich: Benjaminowskiego i Gombrowiczowskiego. Harnesberger nie posuwa się do parafrazy pojęć jednego autora za pomocą pojęć drugiego – i na odwrót, każdego z nich omawia zasadniczo we własnym idiomie i różnica jest często zarówno punktem wyjścia, jak i dojścia w tych zestawieniach. Choć autorka czasem nazbyt moim zdaniem pochopnie utożsamia stan wyjątkowy z przedstawieniami Gombrowiczowskimi (np. z *Formą po prostu*), to generalnie stara się odróżniać barokową i nowoczesną koncepcję stanu wyjątkowego. Obie twórczości w konsekwencji pozostają dla siebie interpretacyjnym zwierciadłem, inspirującym czytelników i czytelniczki. Oczywiście, nie uważam, że interpretacyjna parafraza Benjamina Gombrowiczem i Gombrowicza Benjaminem jest niemożliwa czy metodologicznie niepoprawna. Konieczne jest jednak uprzednie zdefiniowanie pojęciowości obu autorów, która w obu przypadkach była tyleż idiomatyczna, co naznaczona nie zawsze dostrzeganą przez komentatorów i komentatorki konsekwencją.

Coś podobnego dzieje się w zestawieniu *Ślubu* i barokowych dramatów żałobnych. Niejasna jest jednak dla mnie istota czy motywacja tej paraleli. Czy jest to analiza porównawcza? Czy miałyby to znaczyć, że Gombrowicz trzy wieki później powieli diagnozę twórców barokowych? Czy w konsekwencji na niej poprzestaje czy ją radykalizuje? Czy Gombrowicz tymi marnymi, jak się przyjmuje, utworami się inspirował? Nic na to nie wskazuje, a ponadto – jak można sądzić z kilku protekcyjnych uwag („żałowe śledzenie intertekstualnych tropów” [s. 151]; „żadne drugorzędne egzystencjalnie sprawy jak literacki agon” [s. 323]) – Sadzik takim wpływologiczno-intertekstualnym wywodom pozostaje nieprzychylny, przynajmniej w sferze deklaracji. A jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że wprowadzając kontekst Benjaminowskiej lektury dramatów żałobnych ewentualną konieczność rozważenia wpływu Szekspira wyraźnie egzorcyzmuje (s. 151, 158). Tak samo powściągliwie odnosi się do relacji z Goethem, bo sugerując wiele „zdumiewających powinowactw” (s. 266; przypis 447) *Pornografii z Powinowactwami z wyboru* Goethego, poprzestaje na stwierdzeniu, że Gombrowicz uznawał swoje pisanie za parodię tego utworu (s. 267). Związki między tymi tekstami też mi się kiedyś rzuciły w oczy, natomiast z racji zaciekawienia i skromnej wiedzy o niemieckim pisarzu chętnie dopytałbym Piotra Sadzika o uzasadnienie tej tezy. Być może nawet nie uprzedzenia wobec „wpływoologii” przesądzają sprawę, ale świadomość komplikacji związanej z tym, że w przedmowie do *Ślubu* Gombrowicz wykonuje gesty wobec Szekspira polemiczne, przyznając się do jego parodiowania (s. 104) i zaznaczając, że w jego utworze sytuacja dramaturgiczna oraz obyczajowa i tym samym antropologiczna jest zupełnie różna od tego, co się dzieje w dramatach antenata (s. 102). To zadanie konfrontacji Gombrowicza z dramaturgiem ze Stratfordu wciąż czeka na odważnych

i może się zdarzyć, że za czas jakiś ktoś przeczyta dramaty Gombrowicza Szekspirem (i Calderonem, od którego zapożyczenie poetyki snu w *Ślubie* już komentowano, a który to autor pojawia się i w książce Benjamina wielokrotnie) i wtedy okaże się, że paralela z dramatami żałobnymi sporo straci ze swojej sugestywności, a może i będzie nie do utrzymania. I nie mam wątpliwości, że punktem wyjścia tej roboty będzie wzgardzona przez Sadzika procedura intertekstualna. Teoretycznych komplikacji jest więcej, bo wiadomo, że omawiając barokowe dramaty Benjamin spiera się ze Schmittem (przy czym wizję słabego suwerena ten uznał za nieporozumienie (SW, 183; L, 193), a więc to, co powstaje pod jego piórem jest polemiką z koncepcją suwerena i stanu wyjątkowego, własną propozycją impotentnego suwerena i tym samym anachronizującą projekcją współczesności na dawny tekst. Nie jest więc tak całkiem jasne, czym jest w sensie ontologii interpretacyjnej dyskurs Piotra Sadzika omawiającego *Ślub*. Pewne jest jedno, że imputując gombrowiczologom i gombrowiczolożkom z wielką kategorycznością zapoznanie kontekstów historycznych, Sadzik zupełnie prześlepia historyczność wykorzystywanych komentarzy. W ten sposób powstaje wrażenie, że anomia i stan wyjątkowy w tekstach Szekspira, autorów barokowych, Benjamina, Schmitta, Gombrowicza, Agambena itd., itd. – o ile tylko tam się pojawiają – to ta sama anomia i ten sam stan wyjątkowy. To jest np. różnica między kimś, kto – jak Schmitt – bronił idei władzy suwerennej jakoby koniecznej dla ocalenia wspólnoty (np. w momencie przejmowania władzy przez Hitlera), a kimś, kto – jak Benjamin – relatywizował suwerenną władzę z powodu jej zagrożenia temu co jednostkowe.

Prawie na koniec chcąc nie chcąc chciałbym złożyć pewną deklarację. Piotr Sadzik jest wybitnym już znawcą twórczości Witolda Gombrowicza, przy tym człowiekiem niepospolicie inteligentnym, a więc i wrażliwym. Nie chciałbym, aby pewna kategoryczność moich uwag w tej recenzji wybrzmiała niewłaściwie. Piotr Sadzik raczej to od razu wyczuje w sposób właściwy, aczkolwiek chyba każdemu zdarzyło się przesadnie i dojmująco przejąć krytyczną opinią, ale chciałbym, żeby była w tej mierze jasność nie tylko dla niego, bo recenzje są chyba ogólnie dostępne, a z odbiorem czytelnicy bywa różnie. Moje intencje są wyłącznie przyjazne i moim pragnieniem była jedynie drobna pomoc w osiągnięciu przez tę rozprawę formatu, w jaki celuje, mianowicie: jednej z najświetniejszych i najbardziej komplementarnych prac o twórczości Witolda Gombrowicza. Oczywiście, o ile moje sugestie są w jakiegokolwiek mierze trafne.

Ponure tryby mitycznych potęg w swej powtarzalności i uniformizacji nie dają nadziei (przynajmniej „nie dla nas”) i sięgną wszystkiego co pojedyncze. Nawet jeśli jest tak niepowtarzalne – merytorycznie niepospolite, interpretacyjnie wirtuozerskie, pisarsko

efektywne – jak rozprawa doktorska Piotra Sadzika. Z przyczyn tu wyczerpująco wyliczonych wnoszę o dopuszczenie autora do dalszych etapów przewodu doktorskiego.

Men Beler